Nr. 40. Poznań, Niedziela 6. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 40 fen., pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Wybory galicyjskie.

Kraków, 30 września.

Wybory sejmowe właściwie się skończyły. Wprawdzie jutro jeszcze wybiera szlachta 44-ch posłów, ale jest to poniekąd nie wybór lecz zatwierdzenie, porozumiano się już bowiem dostatecznie kogo wybrać i trzeba tylko dopełnić formalności. Lista zatwierdzonych przez komitet centralny kandydatów o tyle tylko zmienioną zostanie, iż kilku z nich ustąpi dobrowolnie na rzecz tych wybitniejszych osobistości stronnictwa konserwatywnego, które padły przy wyborach z mniejszych posiadłości. Przedewszystkiem zapewne nie zostaną pominięci p. Józef Męciński, (pisany już dziś stale *hrabią* Józefem Męcińskim), książę Adam Sapieha, który jednak oświadcza, iż nie kandyduje i hr. Jan Stadnicki, ulubieniec stronnictwa konserwatywnego, a formalnie znienawidzony przez wszystkie inne stronnictwa w kraju istniejące. Znajdzie się zapewne miejsce i dla p. Chrzanowskiego, który wczoraj przepadł w Krakowie, a który jest, że tak powiem, posłem fachowym i tradycyjnym. W każdym razie tych 44-ch posłów będą to tylko sami konserwatyści, z wyjątkiem chyba ks. Adama Sapiehy, który lubi od czasu do czasu bawić się w liberała, a nawet „czerwonego“, co mu nie przeszkadza jednocześnie ani stanąć na czele szlachty żegnającej hr. Badeniego, niby to jego przeciwnika politycznego, ani zabawić się w ultralojalność, przemawiając za wzmocnieniem w szkołach nauki języka niemieckiego, bo to jest łaskawie u „dworu“ widzianem i pozwala godnie nosić tytuł ekscelencyi.

Jeżeli wybory z kuryi większych posiadłości nie przedstawiają nic interesującego, to wynik wyborów dotychczasowych z miast, a zwłaszcza z mniejszych posiadłości daje obszerny materyał do uwag i wniosków. Rozpocznę od tych ostatnich, bo tylko w nich walka szła na ostre, bo tylko one zajmowały i to przez czas długi opinię publiczną.

Stanowczej przemianie uległa grupa posłów rusińskich, czy ruskich, jak kto woli. W poprzednim sejmie posiadali Rusini 16 mandatów, w nowym posiadać będą 14. To liczebne zmniejszenie nic jednak nie stanowi — barwa gra tutaj główną rolę. Do walki ze sobą wystąpiły cztery stronnictwa rusińskie: moskalofilskie, ugodowe (partya Barwińskiego), narodowców (Romańczuka), i ludowo-radykalne. Moskalofile przepadli skandalicznie, bo we wszystkich okręgach wyborczych pozostali w rażącej mniejszości; na kandydatów ich padło zaledwie 352 głosy. Radykalni popisali się już lepiej, bo mieli głosów 557 i przeprowadzili jednego posła w osobie p. Nowakowskiego, który pobił w Przemyskiem ks. Adama Sapiehę. Olbrzymią klęskę poniosło także stronnictwo Romańczuka, zwące się wprawdzie stronnictwem „narodowem“ ale dość zbliżone do stronnictwa moskalofilskiego i mające z niem część wspólnych kandydatów. Poległ sam p. Romańczuk, polegli i wszyscy jego przyjaciele polityczni, z wyjątkiem p. Okuniewskiego. Za to zwycięztwo na wielką skalę odniosła partya „ugodowców“ — na 14 mandatów ruskich zdobyła na pewno 10, a może i 12, gdyż prawdopodobnie dwaj wybrani włościanie: Winniczuk i Ostapczuk, przyłączą się do partyi Barwińskiego.

Wynik ten oznacza naprzód ogromną zmianę w zapatrywaniach Rusinów, a mianowicie dążenie z ich strony do porozumienia się i zgody z Polakami. Ale nie łudźmy się, wynik ten bowiem zawdzięczamy jedynie sprytnej, przez rząd obmyślonej i przeprowadzonej taktyce wyborczej. Dawniej we wszystkich prawie (z małym wyjątkiem) okręgach wyborczych wschodniej Galicyi ubiegali się o mandat tak i Rusini jak i Polacy. Jeżeli zatem w okręgu X. X. kandydował Polak i Rusin, to Rusini pomimo różnicy stronnictw oddawali swe głosy Rusinowi. Wychodzili więc z urny Rusini wszelkiej barwy. Obecnie ze strony polskiej i rządowej postanowiono pozostawić pewną ilość okręgów wyłącznie Rusinom, walczą więc oni sami pomiędzy sobą. W tej walce rząd popiera ugodowców, i wszystkie też głosy, jakie w tych okręgach posiadają Polacy, padły na członków stronnictwa Barwińskiego. Jeżeli też statystyka wyborcza powiada, iż stronnictwo Romańczuka otrzymało głosów 792, a Barwińskiego 1351, to nie znaczy bynajmniej, aby ten stosunek głosów oznaczał wybitną przewagę ugodowców. Naprzód presya rządowa odebrała „narodowcom“ przynajmniej pareset głosów, które odliczywszy od głosów stronnictwa Barwińskiego, wraz z paruset głosami polskiemi, zmniejszymy znacznie moralną doniosłość zwycięztwa ugodowców. Co najwyżej możemy powiedzieć, iż partya Romańczuka z partyą Barwińskiego znajdują się w równej sile. Jeżeli jednak zauważymy, iż do partyi „narodowców“ zbliżeni są moskalofile i radykali, to tryumfujący ugodowcy pozostaną w znacznej mniejszości. Co więcej, patrzący spokojnie i trzeźwo na stosunki ruskie w Galicyi, nie mogą mieć wielkiej wiary w dobrą wolę i niezłomność przekonań ugodowców. Czyż to tak dawno, kiedy p. Romańczuk zawierał ugodę z rządem i mówił o porozumieniu się z Polakami, czyż to tak dawno jak mowy jego w sejmie wypowiadane, zyskiwały oklaski ze strony wszystkich posłów polskich? A gdzie dziś zaszedł p. Romańczuk? Cofnijmy się jeszcze nieco dalej i przypomnijmy sobie księdza Kaczałę, którego świetne mowy na temat dwóch bratnich narodowości do tego stopnia nas entuzyazmowały, że zyskał mandat w czysto polskim okręgu tarnowskim. Nie trzeba było jednak długiego czasu, aby polonofil Kaczała stał się najzacieklejszym moskalofilem. Nie znam p. Barwińskiego, a więc sądzić o nim nie mogę, chętnie też przypuszczam, że jest człowiekiem stałych przekonań, ale co do jego przyjaciół politycznych, na mocy przykrych doświadczeń, obawiano się, czy nie pójdą śladem Romańczuków albo co gorzej Kaczałów. Rusini „rządowi“ wzbudzają zawsze podejrzenie, iż dla chwilowej karyery, lub dla innych interesów, umizgają się do władzy, a ponieważ władza żąda przedewszystkiem zgody między narodowościami, przeto o tej zgodzie przebąkują. Trzebaby zajrzeć w ich serca, aby wiedzieć ile szczerości mieści się w ich oświadczeniach, a tej sztuki zajrzenia w serce nie posiada nietylko wasz korespondent, ale nawet sam p. namiestnik, wszystkowiedzący i wszechwładny hr. Kazimierz Badeni.

Za to podwładni jego: starostowie, komisarze i żandarmi posiadają sztukę przemawiania do „serc“ ludu przy wyborach, o czem niezbyt szeroko, ale dość wyraźnie pisałem w pierwszym moim artykule o wyborach galicyjskich. Sztuka ta, w połączeniu z „miłosierdziem“, jakiego dowody dawała większość kandydatów, udzielając hojnie jałmużny „biednym chłopkom“, a wymagając tylko od nich jednorazowego wypowiedzenia ich nazwisk przed komisyą wyborczą, spowodowała, iż w zachodniej Galicyi na 4696 wyborców, za kandydatami komitetu centralnego oświadczyło się 2058 i że wskutek tego tylko 7 kandydatów stronnictw ludowych weszło do sejmu, nie licząc 3 chłopów, których poparł komitet centralny. Ale i tu ktoby chciał opierać swoje wnioski na samych tylko cyfrach, musiałby pobłądzić. Czytelnicy „Przeglądu“ wiedzą już jak „bezstronnie“ władze rządowe postępują przy prawyborach, a wskutek tego, jak dalece często rozchodzi się opinia ludu od wybranych niby przez niego „dobrowolnie“ wyborców. Gdyby zostawić ludowi wolną wolę, to bez przesady przynajmniej do $^1/_3$ wyborców całkiemby się nie przyznał i zamieniłby ich na innych. Weźmy dalej na uwagę, że z ludem głosują zarazem wyborcy z małych miasteczek,

których wprawdzie jest stosunkowo nie wiele, ale którzy nie głosują na chłopa tak ze względu na swoje wysokie hierarchiczne stanowisko w społeczeństwie, jako też dla tego, iż łatwiej do ich „serc“ przemówić. I to jeszcze nie wszystko, bo należy nie zapomnieć, iż przy samych wyborach wysila się energia panów starostów. Kto ciekawy niech sobie przeczyta w pismach galicyjskich opisy „wolnych“ wyborów w Gorlicach, gdzie kandydował i gdzie nibyto przeszedł p. Adam Skrzyński, świeżo upieczony hrabia galicyjski. Pan Gubatta, starosta gorlicki, był tak gorliwy, iż więzienia miejscowe nie wystarczyły na pomieszczenie aresztowanych wyborców, a niektórzy z chłopów składali na ręce komisyi po kilkadziesiąt reńskich otrzymanych w darze przez litościwego p. hrabiego. W Jaśle miejscowy p. starosta oddał prokuratoryi sprawę przeciw kandydatowi włościańskiemu, który miał popełnić oszustwo; pokazało się przed sądem, iż oskarżony był niewinny, a wskutek tego sędzia wydając wyrok go uwalniający nie mógł w motywach powstrzymać się przed napiętnowaniem niesumiennych donosów. W Wieliczce unieważniono 27 głosów, danych na kandydata Ślósarka, a nie unieważniono ani jednego z danych na p. Czecza. Takich unieważnień, polegających na zbyt ścisłem trzymaniu się prawa (ale tylko względem kandydatur chłopskich), można liczyć na całe setki. W Krakowie w dzień wyborów policya odbyła rewizyę u p. Danielaka, dziennikarza, a następnie spisywała z nim protokół do godziny wpół do 11-tej, poczem powiedziano p. Danielakowi, że może iść do domu, szło bowiem tylko o to, aby nie przemawiał do chłopów przybyłych na wybory. W tymże samym Krakowie wezwano w dzień wyborów na godzinę 9-tą do sądu, kandydata chłopskiego Franciszka Wójcika, a gdy się nie pokazał, szukali go żandarmi, ale Wójcik się ukrył i dopiero przed 12-tą zjawił się w sądzie, już jako poseł, „wybraniec narodu“.

Takiemi kwiatkami jak przytoczone mógłbym zapełnić cały numer „Przeglądu“, ale i przywiedzione są chyba dostateczne dla okazania, iż ze samych cyfr tylko nie można sądzić o usposobieniu wyborców ludowych. Owszem za cud można uważać, iż pomimo demoralizującego przekupstwa i presyi rządowej, zdołały stronnictwa ludowe przeprowadzić swoich 7-miu kandydatów, nie licząc owych 3-ch chłopów, na których zgodziły się sfery wyższe i rządzące. Znamiennem jest, iż w walce z kandydatami ludowymi padli sami prawie wybitni posłowie, jak p. Józef Męciński, prezes wyborczego komitetu centralnego, hr. Jan Stadnicki, profesor Zoll, dr. Franciszek Paszkowski, hr. Mieczysław Rej, p. Józef Popowski. Dodajmy do tego, iż niektórzy chłopi przeszli olbrzymią większością, a kilku upadło tylko paru głosami, a będziemy mieli pojęcie jak się wzmógł ruch ludowy i jakie byłyby rezultaty tego wzmożenia się, gdyby nie presya i nie przekupstwo.

Oświadczam wyraźnie (już nie wiem po raz który) że kandydatury chłopskie nie są mi sympatyczne. Zaznaczam również, że doszły mnie bardzo niepochlebne, a z ust wiarogodnych pochodzące opinie o wartości moralnej kilku z wybranych włościan. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, iż ruch ludowy wystąpił bardzo silnie, a gruntem, który mu tak rozrosnąć pozwolił, jest brak zaufania do większości szlachty. Podkreślam *do większości*, gdyż było takich kilka okręgów, w których kandydaci szlacheccy przeszli albo jednogłośnie, albo zaledwie parę głosów padło na innego kandydata, co dowodzi, iż lud miał zaufanie do wybranych, bo nie sposób przypuścić, aby wszyscy wyborcy danego okręgu byli przekupieni, lub wszyscy ulegli presyi rządowej. Znalazł się także taki okręg, w którym ostentacyjnie postawiony i zatwierdzony kandydat chłopski, nie otrzymał ani jednego głosu, co znowu jest dowodem, że są miejscowości, w których chłop nie chce słyszeć nawet o zasadzie wybierania chłopów. Oznacza to, iż lud w znacznej części kieruje się sympatyami, iż posiew opozycyjny wydaje szczególnie tam owoce, gdzie szlachta całkiem ludem się nie zajmuje, albo też, gdzie presya rządowa oburza chłopa i wywiera wprost przeciwny od zamierzonego skutek, jak to miało miejsce w powiecie krakowskim, w którym (jak to powiedziałem w poprzedniej korespondencyi) upadł dr. Franciszek Paszkowski w skutek zajść cholerzyńskich.

Lubo nie jestem zwolennikiem wielu z tych objawów ruchu ludowego, jakie wyszły na jaw podczas ostatnich wyborów, lubo obawą mnie poniekąd przejmuje zaciekłość chłopska, o której liczne dochodzą mnie wieści*), to przecież trudno zamknąć oczy na dodatnie strony tego ruchu. W wielu miejscowościach chłopi zamawiali mszę w dniu wyborów, na uproszenie Boga, aby głosowali „według sumienia“ — w Krakowie po mszy zgromadzili się około pamiątkowej tablicy Kościuszkowskiej i przyrzekli sobie, że nie będzie pomiędzy nimi „zdrajcy“. Niedawne też to czasy, kiedy panowało ogólne przekonanie, iż „bydło chłopskie“ zawsze pójdzie za głosem starosty i wyrażano przytem obawę, iż w razie pogorszenia się położenia naszego w Austryi, chłop będzie wiernem narzędziem rządu — ostatnie wybory tymczasem nader jasno dowodzą, iż „owo bydło“ ma swoją wolę i że pokost czarno-żółty wyciera się coraz bardziej. A czy nie należy się cieszyć z nader licznych faktów, iż chłop ze wstrętem odrzuca przekupstwo? Jeden z doskonałych znawców ludu, powiedział mi przed paru dniami: za 6 lat niesympatyczna dla chłopa kandydatura albo całkiem się nie utrzyma, albo też przeprowadzenie jej będzie wymagało dziesięć razy większych ofiar pieniężnych.

*) W Wieliczce n. p. jeden z chłopów kiedy mu przedstawiono, iż kandydat chłopski jest człowiekiem złym, zepsutym i pijakiem, wyraził się: „To mi wszystko jedno; niech mi kołek postawią a na tym kołku powieszą czapkę chłopską, to za kołkiem będę głosował“.

O wyborach z miast nie wiele da się powiedzieć. Scharakteryzowałem już nieco w zeszłej korespondencyi walczące ze sobą stronnictwa. We Lwowie z wielkiej chmury opozycyjnej nawet małego deszczu nie było: wybrano dotychczasowych posłów, pomimo, że tak dużo gadano o ich zdradzie przekonań. Największe cięgi dostała logika przy wyborze tak zwanych „przełomczyków“, t. j. tych członków lewicy, co szli w rozczulającej zgodzie z prawicą. Kiedy wódz ich Szczepanowski przeszedł wszystkiemi głosami w Kołomyi (a więc na liberała tego padły i wszystkie głosy rządowe) to „przełomczyk“ Rutowski poległ sromotnie w Tarnowie. Kolega ich i przyjaciel dr. August Sokołowski, wymyślany naprzód przez liberałów a później przez nich popierany, pozostał w Krakowie . . . bez miejsca, a niczem nie różniący się od niego dr. Weigel otrzymał największą ilość głosów. W Rzeszowie walka się toczyła na tle religijnem. Żydzi tamtejsi uchwalili wprawdzie bardzo radykalny program dla przyszłego posła, ale gdy zgłosił się o mandat prof. dr. Józef Rosenblatt (stańczyk żydowski, lub jak kto woli: żyd stańczykowski) wszystkie zasady opuściły lud Izraela, który jak jeden mąż stanął po stronie swego współwyznawcy. W odpowiedzi na to ludność katolicka zjednoczyła się około kandydatury p. Pogonowskiego i kilku głosami przechyliła na korzyść jego zwycięztwo.

Najciekawszym może był wybór krakowski, bo właściwie żadne stronnictwo nie może się cieszyć ze zwycięztwa. Z trzech wybranych, dr. Weigel był kandydatem wspólnym, dla żadnego stronnictwa ani zbyt ciepłym, ani zbyt zimnym, a ukochanym tylko przez żydów. Drugi wybrany dr. Henryk Jordan, był stawiony tylko przez konserwatystów, nie miał prawie całkiem za sobą głosów żydowskich, a otrzymał 1200 głosów na 2100 głosujących, ponieważ zaś konserwatyści nie rozporządzali więcej jak 600 głosami chrześcijańskiemi, ztąd wniosek, że połowę głosów otrzymał dr. Jordan od

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON (*porywczo*).

Tak... tak! Szydź ze mnie!... Dosyć masz nas ludzi prostych!... Chcesz z pyłu codzienności, którym cię zapruszamy, otrząsnąć się w areopagu bogów, którym królujesz!...

(*Wirska wpada zdyszana.*)

WIRSKA (*oddycha z trudnością*).

Wandziu! Wandziu! twój mąż...

WANDA (*błędnie*).

Pani! ja nie mam męża.

WIRSKA (*j. w.*)

Twój mąż... umarł... Zastrzelił się!...

WANDA (*zrywa się, rażono*).

Kto pani to mówił! Kazio, nie żyje?

WIRSKA (*podaje telegram*).

Masz... od jego matki...

WANDA (*chwyta go, czyta*).

„Kazio... zastrzelił się... zawdzięczam to tobie“. (*patrzy błędnie*) Pani... pojadę!

WIRSKA (*z namaszczeniem*).

Jedź moje dziecko.. zawiniłaś ciężko... Nie możesz już naprawić okropnego błędu... Jedź, miejsce twe przy istocie, którą tak strasznie skrzywdziłaś!

WANDA (*z gorzkim uśmiechem*).

Ja zawiniłam... ja skrzywdziłam... (*błędnie*) Ha, ha, ha! (*wybiega*).

(*Długie milczenie.*)

LEON.

Więc dla niej się zastrzelił?...

WIRSKA.

Musiał ją kochać do szaleństwa... a ona go opuściła, zmarnowała mu talent... nie mógł żyć bez niej...

LEON (*szyderczo*).

Głupiec!... I zrobił jej przyjemność!

WIRSKA (*oburzona*).

Co ty mówisz! Czyż zbrodnia może być przyjemną?

LEON.

Czyż może być większy dowód potęgi dla kobiety, jak wywołanie samobójstwa mężczyzny?... Czyż jest silniejsze kadzidło dla jej próżności?

WIRSKA.

Jest nauczenie go życia.

LEON (*gorzko*).

One dbają o nasze życie!...

WIRSKA.

A wyrzuty sumienia?

LEON.

Kobieta nie zna co to sumienie, gdy chodzi o skrzywdzenie mężczyzny lub jej próżność.

(*Rózia wpada.*)

RÓZIA.

Mamo, co to jest?... Dla czego pani wyjeżdża?...

WIRSKA.

Mąż jej umarł.

LEON.

Zabił się.

RÓZIA.

Zabił się?... Dla niej się zabił?... By ją zadręczyć swą śmiercią?... Ah, to niegodziwe!...

LEON (*z ironią*).

Jaka szkoda, że dla niego kary już niema!

RÓZIA (*gwałtownie*).

Wanda już nie zazna spokoju! pójdę do niej... jaka ona biedna!... (*wychodzi*).

LEON (*jakby do siebie*).

A jednak... może Rózia ma słuszność?

WIRSKA.

Tylko jest tak zaślepioną, że nie widzi winy Wandy.

LEON.

Czy możemy być odpowiedzialni za szaleństwo drugich?...

umiarkowanych i liberałów. Ale bo też nie głosowano za nim jako za konserwatystą, lecz jako za człowiekiem wielkich zasług i wielkiego serca. Wiedziano, że człowiek ten kocha gorąco społeczeństwo. że mimo zaliczania się do obozu konserwatywnego nigdy dobra ogółu nie poświęci dla dobra stronnictwa. Jestto więc wybór zaszczytny dla wybranego i dla jego wyborców. Konserwatyści uratowali tylko honor przez to, że postawili kandydaturę osobistości tak popularnej. Oprócz bowiem dr. Weigla wybrano jeszcze drugiego liberała p. Rottera, dyrektora szkoły przemysłowej. Liberał ten pobił tylko kilkunastu głosami dotychczasowego posła Chrzanowskiego, a pobił głównie przez olbrzymio rozwiniętą za sobą agitacyę. Wszyscy technicy oddali swoje siły i zabiegi jego kandydaturze. On sam nie wahał się iść w przeddzień wyborów na dwa zebrania żydowskie i wypowiadać mówki przed tłumem Izraela. Była to zupełna nowość i do najwyższego stopnia niesmaczna. Każdy kandydat poprzestawał bowiem zawsze na wyznaniu swojej wiary politycznej na ogólnem zebraniu wyborców bez różnicy wyznania. Gwałtowna chęć posłowania zaprowadziła p. Rottera za daleko i stworzyła niebezpieczny precedens. W ubieganiu się o mandat potrzeba zachować miarę, jeżeli nie chce się zrodzić podejrzenia, że jedynie wygórowana ambicya i chęć wywyższenia się jest matką kandydatury.

K. Bartoszewicz.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Katolik“ bytomski zamieścił szereg programowych artykułów p. t. „Za prawdę, wolność i prawo“. Artykuły te świadczą wymownie, że na śmiałe podniesienie sztandaru narodowego „Katolik“ zdobyć się nie może i wciąż bije pokłony na progu stronnictwa centrum. Oto próbka bytomskiej polityki:

„1) Ruchowi ludowemu, gazetom polskim i kandydatom jego zarzucano, że chcą centrum na Górnym Szląsku ubić. że chcą przestać wybierać i należeć do partyi centrowej

To jest zupełny fałsz, a „Katolik“ może przytoczyć dowody jasne i niezbite, że to fałsz. Albowiem pan Szmula i p. Strzoda, wybrani przez wolę ludu i za pomocą gazet polskich przystąpili i należą do centrum. Tak samo p. Radwański, gdyby był został posłem, byłby przystąpił do centrum. We wszystkich odezwach było wyraźnie napisane, że kandydaci ludowi mają przystąpić do centrum. „Katolik“ nigdy inaczej nie głosił; cała walka wyborcza ze strony ruchu ludowego odbywała się pod hasłem centrowem.

„Katolik“ był i jest pismem centrowem, ale jest takiem pismem, które podziela zdanie, że partya centrowa albo będzie partyą ludową, albo zginie. My chcemy, aby partya centrowa istniała, ale nie jako partya pańska, konserwatywna, rządowa, lecz jako partya ludowa. Dla tego nie możemy popierać takich kandydatów, którzy powiększą w centrum liczbę posłów, naginających się ku konserwatystom lub ku rządowi, lecz takich, którzy na lud, na jego potrzeby i dążności zważają i podług tego swoje posłowanie urządzają. Ponieważ takim posłem nie może być ani p. Latacz, ani pan Huene, przeto nie możemy ich popierać. Jeżeli gdzie, to na G. Szląsku partya centrowa powinna być partyą ludową, bo tu centrum tylko i jedynie przez lud polski urosło i stoi.

Z tego wynika, że zupełnie nieprawdziwym jest zarzut, jakoby gazety polskie, a mianowicie „Katolik“ lud od centrum oderwać chciały.

Z powodu skandalicznych paszkwilów dziennikarskich, pojawiających się od pewnego czasu w Poznaniu, a przechodzących w wyuzdaniu swojem wszystko, co dotychczas bagienko nasze na świat wydało, zamieszcza „Dziennik Poznański“ (nr. 224) następujące zdrowe i jędrnem piórem skreślone uwagi:

„W ostatnich czasach zaszły znów wypadki dowodzące straszliwego obniżenia się poziomu moralnego pewnej części naszego dziennikarstwa i zmuszające nas do wypowiedzenia naszym kolegom po piórze kilku słów prawdy i przestrogi.

Zapewne, że skargi na coraz większy upadek prasy rozbrzmiewają wszędzie. Upadek ten jest naturalnym wytworem dzisiejszej cywilizacyi, pozostaje w bezpośrednim związku z coraz groźniejszym we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach zanikiem ideałów, z nieprzebierającą w środkach pogonią za materyalnemi do brami i rozko zami

Jeśli jednak potężne i silne organizmy społeczne przetrwają jako tako zwycięzko chorobę, nurtującą je w postaci złej, sprzeniewierzającej się szczytnemu swemu zadaniu prasy, to dla nas, których całe istnienie polityczne spoczywa na podkładzie idealnym, choroba ta stać się może wprost zabójczą, a w każdym razie nieobliczone wyrządzić szkody.

Jeśli w którem, to w naszem społeczeństwie prasa świecić powinna przykładem uczciwości publicznej, nie tylko stać na straży ideałów, ale walczyć wszystkiemi siły przeciwko zgubnym prądom czasu.

Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie!

Zamiast podawać zdrowy pokarm społeczeństwu, karmimy je zatrutą strawą; zamiast dążyć do uszlachetnienia czytelników, spekulujemy na najgorsze ich instynkta, podsycamy niezdrowe pragnienia sensacyi, a siebie samych zamieniamy w gladyatorów, walczących z sobą na zabój ku uciesze bezmyślnej gawiedzi.

W wyznawcy przekonań odmiennych upatrujemy zawsze i wszędzie osobistego wroga, podsuwamy mu najohydniejsze motywa, a w walce z nim nie cofamy się przed żadną, choćby najhaniebniejszą bronią.

A przecież mężna i wytrwała obrona własnych przekonań da się pogodzić z poszanowaniem godności własnej i godności przeciwnika.

Nie dość na tem!

Wdzierać się już zaczynamy do ogniska domowego, stanowiącego świętość nietykalną dla każdego uczciwego człowieka, wywłóczymy w gorszący sposób na światło dzienne sprawy, pozbawione wszelkiego publicznego znaczenia, nie wahamy się obryzgiwać bezbronnych kobiet jadem naszej żółci i podłego dowcipu.

Z jakiemże więc czołem śmiemy się narzucać na kierowników i nauczycieli społeczeństwa, jeśli sami sztandar nasz nurzamy codziennie w błocie, jeśli broni, przeznaczonej do obrony najświętszych naszych praw i interesów, używamy ku zaspokojeniu najpodlejszych instynktów natury ludzkiej, ku osiągnięciu najbrudniejszych często celów? Jakiemże prawem żądamy poszanowania od innych, jeśli tak mało szanujemy samych siebie?

Niedługo przyjdzie do tego, że dziennikarz stanie się synonimem szubrawca, a człowiek przyzwoity za obrazę poczytywać będzie, jeśli go nazwą publicystą!

Szczytny i bogaty w błogodajne owoce zawód dziennikarza staje się klątwą dla społeczeństwa, skoro go przewrotne pochwycą dłonie, skoro dziennikarz z kierownika zamienia się w truciciela opinii.

Zaiste! czas największy położyć tamę tym mnożącym się wybrykom, temu gorszącemu i przybierającemu coraz groźniejsze rozmiary nadużywaniu drukowanego słowa i wyuzdaniu pióra.“

Z powodu artykułu powyższego wypowiada takie zdanie „Orędownik“ w nr. 225:

„Cóż się takiego stało w ostatnim czasie, że „Dziennik“ w ten sposób pisze o naszej prasie i nawet wszystkie obozy polityczne wzywa do obrony swej godności? Jeżeli istotnie o „godność dziennikarską“ chodzi, to ją nie tak dawno jeszcze sto razy gorzej deptano, aniżeli obecnie...

...Toż nie tak dawno temu sto razy gorzej wyglądało w naszem dziennikarstwie, i nikomu nie przyszło na myśl pytać się, co się dzieje z „godnością dziennikarską“. Szarpano inaczej jak dziś dobre imię przeciwników, podsuwano im najpodlejsze motywa, miotano paszkwilami i oszczerstwami, wywłóczono ich prywatne sprawy, wdzierano się do rodzinnych stosunków nietylko kobiet, jak się skarży „Dziennik Poznański“, ale nawet bezbronnych żon nie szczędzono. Przypominamy tylko, jak wywłóczono po gazetach sprawy prywatne panów Czapli i Grosmana z Inowrocławia, p. Moczyńskiego z Bydgoszczy, jak na dr. Szymańskim dokonywano na wszystkich stołach redakcyjnych wiwisekcyi! Wtedy „Dziennik Pozn.“ nietylko nie widział szubrawców, ale jeszcze tej robocie przyklaskiwał, a czasami dopomagał...

...„Dziennik“ wzywa wszystkie obozy polityczne do solidarnej obrony godności prasy naszej. Jesteśmy wielkimi zwolennikami każdej solidarności, dopóki ona tylko nie jest przedrzeźnianiem zdrowego zmysłu i nie zakrawa na grób pobielany. W tym przypadku niech „Dziennik“ nie liczy na naszą solidarność; pozostawimy go razem z „szubrawcami“, niech się przed nimi ogania jak może.

Że w naszem dziennikarstwie nie wesoło wygląda, że rozchodzi się z niego zapach zgnilizny, że „Przegląd Pozn“ bardzo słusznie zwrócił uwagę na zanikanie wszelkiej samodzielności w naszem dziennikarstwie, tego oczywiście zaprzeczyć nie można. Ale prasa może przy tem najmniej zawiniła; największa wina spada za to wszystko na społeczeństwo samo, ściślej mówiąc na jego przywódzców i patronów politycznych. Toć patrzeliśmy wszyscy własnemi oczyma na to, jak ci przywódzcy

---

WIRSKA.

Gdyby była przy nim została, nie byłby się zabił!

LEON.

A jeżeli zostać nie mogła?... Jeżeli samobójstwem jej groziło wspólne życie? Zresztą on omało jej nie zabił!

WIRSKA (*poważnie*).

Obowiązkiem żony wszystko znosić od męża.

LEON (*gwałtownie*).

To dzikie matko! Są rzeczy, których się od nikogo znieść nie powinno! I Wanda! Wanda!

WIRSKA.

Właśnie, właśnie ma się za nadzwyczajną kobietę dla tego, że rzępoli, zdaje jej się, że jej wszystko wolno, i że obowiązki ludzkie dla niej nie istnieją, bo ją Pan Bóg obdarzył talentem.

LEON.

A jeżeli rzeczywiście rozwijający się dzisiaj nowy ustrój moralny pociąga za sobą zmianę pojęć etycznych, więc postępowanie.

WIRSKA (*gorzko*).

Macie owoce waszej nowej etyki, a raczej waszego braku etyki; — bo wy chcecie być wolni aż do rozuzdania i przepisy moralności naginacie do waszych kaprysów.

LEON.

A jeżeli to, co nazywasz kaprysem, jest koniecznością naszych dusz, a swoboda, którą tak potępiasz, prawem naszem.

WIRSKA.

To wasze prawo jest bezprawiem! Świat cały niem zamieniacie na jeden wielki dom rozpusty! Trzeba więzów, by zostać uczciwym.

LEON.

To niewola dzisiejsza stwarza domy rozpusty; więzy są źródłem ukrytych zbrodni! A występki te są reakcyą niewoli, protestem ludzkiej natury!

WIRSKA.

Tak, tak! Gdy będzie można mieć 20-stu mężów po kolei, nie będziecie potrzebowali prostytucyi!

LEON (*gwałtownie*).

Mamo!

WIRSKA.

Wiem, że jesteś za rozwodem; tym razem czyś nie współwinowajcą? Ułatwiłeś jej opuszczenie męża, by ją bałamucić.

LEON (*dotknięty, wściekle*).

Mamo! Wanda jest uczciwą!

WIRSKA.

A jednak rozwód jest plamą na jej czystości.

LEON (*j. w.*)

Ona się rozwiodła, by nie cuchnąć błotem!

WIRSKA.

W małżeństwie nie ma błota. To sakrament.

LEON (*j. w.*)

To chlew często!

WIRSKA (*obrażona*).

Pamiętaj, do kogo mówisz!

LEON (*j. w.*)

Dla czego ją krzywdzisz?...

WIRSKA.

Wiesz, że ją lubię i przygarnęłam do siebie zniesławioną i przebaczyłam...

LEON (*porywczo*).

Nie potrzebowała naś! Drwi z opinii! postępuje według własnych przekonań i jest czystą. Co jej ty matko i ktokolwiek ma do przebaczenia?!

WIRSKA.

Rzucenie plamy na ród szanowany.

LEON.

Bodajby nasz innych nie miał, a byłby czystym jak dyament.

WIRSKA (*rozgniewana*).

Co ty mówisz o naszej rodzinie? Może ja ją splamiłam?...

LEON (*z żalem, całuje ją*).

Mamo, co ty mówisz! — Tylko nie oskarżaj kobiety nieszczęśliwszej od siebie... Idź do niej.

jednę gazetę po drugiej krępowali jak barana, więc się też dziwić nie należy, że przy ogólnem rozbiciu zgnilizna wewnętrzna przedostaje się także do gazet naszych.

I pod tym względem jest nasze dziennikarstwo tylko odblaskiem naszego wewnętrznego, moralnego stanu.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarska „Swoboda“, donosząc o uwięzieniu przez policyą w Ruszczuku indywiduum, które w przebraniu kobiecem chciało podczas pobytu księcia wyjednać sobie audyencyą u niego, pisze co następuje:

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że agenci rosyjscy przygotowują nowy zamach w Bułgaryi, którego ofiarą padnie książę. Dawniej wmawiano w księcia, że Stambułow go straszy zamachami, aby go uczynić powolnym swoim zamiarom, dziś Stambułowa nie ma, a policya jednakowoż fakta takie stwierdza. Nienawiść ludzi zaprzedanych Rosyi nie zwraca się teraz jak oni przeciw prezesowi ministerstwa, bo wszyscy wiedzą, że Stoiłow jest manekinem, że nie reprezentuje niczego, jak ongi Stambułow. Wszystko więc zwraca się przeciw księciu. Kłamstwem jest, jakoby dzisiejsze partye polityczne dążyły do umocnienia dynastyi. Tak można sądzić jedynie o naszem stronnictwie, o radosławistach i kilku konserwatystach, wszyscy zresztą są oddani duszą i ciałem idei rosyjskiej. Do czego Rosya dąży, do tego dążą i oni; a ponieważ jest rzeczą znaną, że Rosya jest przeciwniczką księcia, przeto i oni przeciw niemu występują.

„Rosya broi na Bałkanie w myśl swego programu, który posiada tradycyą historyczną. Jej trzeba księcia, który będzie ślepem narzędziem w jej ręku, a tego zaufania do księcia Ferdynanda nigdy mieć nie będzie. Dziś Rosya zbliża się szybkim krokiem do urzeczywistnienia swych idei, a stronnictwa obecne, nie wyjmując rządowego, są jej pomocne.

„Mówią dziś ludzie stojący na czele rządu, a razem z nimi i książę Ferdynand, że partyzanci Stambułowa byli najniebezpieczniejszymi wrogami księcia. Atoli nie nasi partyzanci brali udział w morderstwach publicznych. Bohaterami polityki sztyletowej i rewolwerowej są wychowańcy polityki rosyjskiej, którzy dzisiaj są prawą ręką księcia. Nie groziło nigdy ze strony naszej niebezpieczeństwo księciu Ferdynandowi, ale grozi mu bezustannie ze strony tych, którzy dziś czekają rozkazu z Petersburga i gotowi są każdej chwili tak działać, jak im z Petersburga rozkażą.

Dziś partya rusofilska radzi, że książę sam zrzeknie się tronu; jeżeli to nie nastąpi, wówczas ta sama ręka, która rozdawała dynamit i rewolwery przeciw Stambułowowi, uzbroi ludzi przeciw księciu. Wówczas to przekonają się wszyscy, że system polityki rosyjskiej, napiętnowanej przez Stambułowa jako system morderstw i grabieży pozostanie tym samym i w przyszłości.“

* * *

„Hrvatski Branik“ donosi w korespondencyi z Osieka (Sławonia):

„Na nic się Madziarom nie przydało, że chcieli w mieście naszem mieć przedstawienia madziarskie; zbiegowisko, jakie ztąd powstało i groźna postawa ludności nakłoniły ich do zaniechania zamiaru. Dziś tych kilku żydówmadziarów, którzy w mieście naszem przebywają, postanowiło założyć madziarską czytelnię. Przy tej sposobności chcieli urządzić zabawę z tańcami. Ale w całym Osieku nie znalazł się ani jeden Chorwat, któryby im lokal wynajął. Nareszcie znaleziono lokal na przedmieściu. Nasi Madziarzy posiadali tyle czelności, iż zaprosili na bal tutejszą inteligencyą chorwacką, które to zaproszenia im odesłano. („Kiedy się zabawa skończyła nie chcieli synowie szlachetnego narodu madziarsko-izraelskiego za napoje i salę zapłacić, tak że hotelista zmuszony był wziąć w zastaw chorągiew nowej „czytelni“, którą związek patryotycznych Madziarek z Budapesztu towarzystwom takim przysyła“.)“

* * *

O wiecu młodoczeskich mężów zaufania piszą „Narodni Listy“:

„Obecnych na zgromadzeniu mężów zaufania było 1307. Morawsko-czeskie stronnictwo ludowe było reprezentowane przez 15 członków; t. z. partya omladynistów nie była obecną, ponieważ jej nie zaproszono, a to z tego powodu, iż w imieniu stronnictwa tego oświadczono, że uchwały wiecu młodoczeskiego nie będą go obowięzywały.

„Na pierwszym planie dyskusyi stała kwestya co do zachowania się frakcyi młodoczeskiej wobec nowego rządu. Żądanie dr. Kaizla, ażeby stronnictwo wobec gabinetu Badeniego zajęło stanowisko bezwzględnie opozycyjne nie znalazło większości.

„Wiec powitał wiceprezydent miasta Pragi dr. Podlipny, naznaczywszy, iż naród, który rocznie płaci 70 milionów złr. podatku i daje 20 tysięcy rekruta nie jest ani biednym ani małym, naród taki może stać o własnych siłach.

„Dr. Herold na zarzuty radykała dr. Kaizla odpowiedział mniej więcej: Moją zasadą jest działać tak, jak tego żąda większość; nie zważam na to, czy mnie nazwą mniej radykalnym od innych. Zawsze atoli sam będę prawdę mówił; nigdy nie należałem do tych, którzy czczemi frazesami wojują; do nich należeć nie będę, choćby mnie nazywano kandydatem na radzcę dworu lub ministerstwa.

„Dr. Gregr zwrócił się w mowie swej przeciw radykałowi Kaizlowi.

„Dr. Vaszaty, Szamanek i Purghardt udziału w obradach nie brali“.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Frank i Frankiści polscy.

Monografia historyczna Aleksandra Kraushara*).

Znany zaszczytnie na polu historyografii autor obdarzył nas nowem dwutomowem dziełem, poświęconem wyjaśnieniu nader ciekawego zjawiska z życia żydów w Polsce. Dzieło to jest prawdziwym wzorem krytycznego badania historycznego i stanowczem wyjaśnieniem tej zawiłej sprawy, o której mnóstwo dotąd jeszcze krąży wieści bałamutnych, opowiadań romantycznych i tajemniczo-mistycznych bajek. Piękna rozprawa o Frankistach to tryumf szkoły, której ozdobą jest p. Kraushar. Wprawdzie szkoła ta nowych tryumfów do zwycięztwa nie potrzebuje, a nawet zbytecznem zda się mówić o nich, bo w świecie cywilizowanym szkoła krytyczna w historyi już zdawien dawna pokonała wszystkie przeciwne sobie kierunki.

Sądzimy przeto, że p. Kraushar uśmiechnie się może, jeżeli wpadnie mu do ręki mniejsze sprawozdanie. Uśmiechnie się i zdziwi, że na tę cechę jego pracy ktoś uważa za potrzebne zwracać jeszcze uwagę. Dobrze uśmiechać się panu Krausharowi, ale tu w Poznaniu inaczej się dzieje jak w świecie cywilizowanym i dla tego inaczej wypada nieraz mówić, powtarzając rzeczy, które nowe były gdzieindziej przed laty dwudziestu. Nam np. wpadła w rękę książka p. Kraushara zaraz po przeczytaniu pracy pana Fr. Habury: „Prawa, warunki i środki postępu

*) Nakładem G. Gebethnera i Spółki w Krakowie 1895.

WIRSKA (*łagodnie*).

Masz słuszność... Zabić człwieka... Biedne dziecko! (*wychodzi*).

LEON (*sam, gorzko*).

Co to jest, że ją bronię przed innymi, a sam ją w głębi duszy oskarżam?... Co to jest, że mi się zdaje, że ja jeden mam prawo o niej źle myśleć, sądzić ją? Co to jest, że gdy drudzy ją szarpią, staje się dla mnie czystą i drogą, a gdy zostaję sam z sobą, nie wierzę jej, bryzgam na nią brudnemi myślami... i prawie nienawidzę?...

Akt III.

(Rzecz w mieście. Obszerna sala, dużo szkolnych, dla niepoznaki rozrzuconych, stołów. Ukryta szkoła. Dziewczynki siedzą przy jednych, chłopcy przy drugich. — Słońce skośnie wpada do sali, oświetlając nagie ściany. W głębi drzwi do pokoju Wandy).

WANDA (*w ciemnej sukni, chodząc między stołami*).

Mówiłam wam zatem dzisiaj o zwierzętach pożytecznych i szkodliwych. Maniu, wymień mi kilka pożytecznych.

MANIA.

Wół... owca... koń...

OLEŚ.

Proszę pani... czasem są takie żywe konie, które zrzucają z siodła, jak tylko na nie wsiąść, stają dęba lub tak lecą, że sobie kark skręcić można... Czy takie konie są pożyteczne?

FRANEK.

A pewno, trzeba je tylko mocno bić i morzyć głodem, i owsa nie dawać...

OLEŚ.

Ale proszę pani... są takie konie, które w żaden sposób nie dają się oswoić... takie narowne konie.

FRANEK.

Takie to widziałem, że zaprzągane do gnojówek, a jak nie chciały ciągnąć, to im w łeb strzelano.

WANDA (*z gorzkim wyrazem ust słucha*).

Franek, ty mi powiedz, jakie zwierzęta są szkodliwe.

FRANEK (*myśli*).

Kuna... lis... osa...

WANDA.

Bardzo dobrze... Wymień ich jeszcze kilka.

FRANEK.

Orzeł... Sokół... Lew...

OLEŚ.

A to proszę pani, gdyby wyrwał orłowi skrzydła, i pazury i dziób wyprostować, toby już nie był szkodliwy.

WANDA (*zadumana*).

Ale i żyćby nie mógł.

OLEŚ.

A to proszę pani... Mówią ludzie, że wtedy, gdy człowieka nie było jeszcze na świecie, wszystkie zwierzęta były łagodne i wszystkie Bóg przeznaczył na pożytek człowiekowi, lecz gdy przyszedł, to jedne zwierzęta co łagodniejsze oswoił, a tamte zaczął męczyć i zabijać, aż się przelękły, znienawidziły go i mścić się poczęły za krzywdy... (*patrzy na Wandę pytająco*).

WANDA (*zajęta*).

I cóż dalej?

OLEŚ (*chrząka*).

A tak, proszę pani, mówią ludzie... To jak pierwszy człowiek zgubił się w takim gęstym lesie, co to przejść przez niego trudno, to wąż ogromny rozłożył się przed nim, tak jak szła droga do jego chałupy, a lwisko strasze obcinało kłami krzaki, by iść mógł łatwo... (*patrzy na nią*).

WANDA (*zachęcająco*).

Mów dalej; ładna bajka.

OLEŚ.

A to, proszę pani, nie wiem, czy to prawda, ale tak mówią ludzie, że ten człowiek to był wielki tchórz i bał się tej żmii i tego lwa, nie rozumiał, że to zwierzyska dobre, tylko myślał, że chcą go zabić, więc wziął kamień i urwał łeb wężowi, a gdy to lew zobaczył, zaryczał i uciekł ze strachu, lecz odtąd kiedy mógł, to pożerał ludzi, a żmije jad mają i kąsają ich. Czy to prawda, proszę pani?

ludzkości". W pracy tej znajduje się przypisek następujący: „Kiedy w r. 1870 słynny nasz historyk p. Ł. Tatomir głosił tę teoryę (o posłannictwie mesyjanicznem Polski) w publicznym odczycie na temat: „Kresowe posłannictwo Polski" zaprotestował przeciw teoryi recenzent jego p. W. w nr. 14 „Dziennika literackiego", nazywając ją równie fałszywą jak utartą a wszelką możliwość rzeczywistej nauki historyi z gruntu podkopującą. Otóż p. Fr. Habura wobec takiego świętokradztwa pełen jest wzniosłego oburzenia i takie wypowiada zdanie: „Udowodnienie przeciwnej teoryi, t. j. że narody nie mają posłannictw, jest daleko trudniejsze, jako teoryi nieumiejętnej i niepatryotycznej (!). Jest ona córą dyletantyzmu, który raz już w nauce polskiej, zupełnie polskiej ustać powinien, bo siła jego li tylko na powadze panujących, w modzie będących doktryn polega i dla tego też przyrodzonym tylko rozumem wojuje (!). Twierdzi p. W., że teorya ta w zastosowaniu do narodu polskiego jest niedorzeczną, bo o posłannictwie narodu można wnioskować wtedy dopiero, gdy historya jego została dokładnie zbadaną, gdy tymczasem w badaniach historyi narodu polskiego dziś dopiero poczęto pierwsze stawiać kroki. Na to odpowiadamy, że p. W. chyba nie słyszał o Długoszu, Kromerze, Wapowskim, Kochowskim, Piaseckim, Naruszewiczu, Lelewelu, Szajnosze, Bielowskim i wielu innych, że chyba nie zna literatury historyograficznej polskiej tak bogatej i gruntownej, itd. itd. Żałujemy doprawdy, że nie możemy ku zbudowaniu ogółu przytoczyć całego ustępu tak charakterystycznego, gdyż wykazuje on, co u nas na gruncie poznańskim uchodzi za naukę u oficyalnych jej przedstawicieli. (Rozprawę bowiem p. Habury pomieszczono w „Rocznikach poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk" tom XX, w roku od narodzenia Chrystusa 1894.) W roku 1879 Michał Bobrzyński tak pisał o teoryi Lelewelowskiej: „Usunięto naród polski i jego przeszłość z pod praw ogólnych, którym w rozwoju swoim ulegają inne narody, przyznano mu wyjątkową rolę i posłannictwo w ludzkości i dla tej misyi pozwolono mu istnieć bez poszanowania rządu i prawa, bez wojska i podatków.... Był to już zupełny obłęd". Wtedy już zatem Bobrzyński mniemał, że owa teorya o „Chrystusie narodów" należy do przeszłości i zaczął się czas prawdziwie głębokich, rozległych i krytycznych prac na polu historycznem. Minęło lat szesnaście, pojawiła się prac takich obfitość. Ale to się działo gdzieś tam na szerokim świecie. Tu w Poznaniu mamy Towarzystwo przyjaciół nauk, a w jego rocznikach p. Habura „nadprzyrodzonym" wojuje rozumem. Ale pozostawmy roczniki Towarzystwa i p. Haburę — „umarłego wśród umarłych". Wróćmy do Kraushara i jego monografii.

W drugiej połowie XVIII wieku żydzi w Polsce poczęli tłumnie przechodzić na wiarę katolicką, co już wówczas zwracało powszechną uwagę. Na czele tego ruchu stał żyd Jakób Frank, zrodzony na kresach Polski. Zespolił on w sobie rojenia dziwacznych sekt żydów południowo-europejskich, i w końcu przeszedłszy wprzódy przez muzułmanizm został chrześcianinem i pociągnął za sobą kilkotysięczny tłum. Ludzie ci jednakże zostawszy katolikami, przez cały czas odprawiali „tajemnicze jakieś praktyki" i pozostawali pod bezpośrednim wpływem Franka. Władza duchowna widząc w tem objawy sekciarstwa, wytoczyła Frankowi proces w roku 1760, zakończony zesłaniem przywódzcy do Częstochowy. Ztamtąd po trzynastoletnim pobycie został uwolniony po zdobyciu Częstochowy przez rosyjskiego generała Bibikowa w r. 1772. Wkrótce potem udał się on zagranicę i bawił kolejno w Brnie Morawskiem, Wiedniu i Offenbachu. Tu nie wiedziano o przeszłości prowodyra sekty i dozwolono mu żyć zupełnie według swoich upodobań, dzięki łasce Józefa II, która spłynęła na całą sektę na mocy uczuć, jakie wzbudzały w monarsze wdzięki pięknej córy Franka, panny Ewy. Frank urządził sobie dwór z przepychem azyatyckim, otoczył się zbrojną drużyną w strojach polskich, tureckich i węgierskich, i wiódł życie tajemnicze. Nic więc dziwnego, że łatwo mogły się zrodzić wieści o tajemniczych stosunkach jego z jakimś domem panującym, o misyach politycznych, o skarbach nieprzebranych, pochodzących z tajemniczego źródła. Bajki te krążyły wśród ludności okolicznej i w końcu dostały się do literatury. Pan Kraushar przedsięwziął nielada pracę rozwikłania całej tej tajemniczej historyi, badając dokumenty złożone w różnych archiwach, śledząc najdrobniejsze objawy w życiu sekty, układając ścisłą statystykę ich liczby itd.

Na zasadzie jego pracy wiemy dziś, że Frank był jednym z owych licznych oszustów, którzy umieją grać na strunie uczuć religijnych i wyciągać tym sposobem korzyści dla zaspokojenia bardzo poziomych instynktów i aspiracyi. Rozbierając krytycznie własne opowiadania pseudo proroka złożone w „kronice", jednej z ksiąg napisanych fantastycznym językiem, które pochodzą bezpośrednio od Franka, przedstawia nam autor jego wiek chłopięcy. Był to chłopak nader energiczny, sprytny, okrutny, odważny, bezczelny, a przytem obdarzony bujną fantazyą. Włócząc się w młodym wieku po wschodniej Europie zapoznał się z sekciarzami żydowskimi zostającemi pod wpływem Sabbataja Cwi. „Negowalioni zasady Judaizmu, zachowawszy jedynie z obrządków tej wiary obrzezanie, a z pisma św. pieśni nad pieśniami, której miłosne zwrotki melodyjnością swoją mile ich ucho pieściły..." „Poznanie się Franka z jednym z chachamów (mędrców) smyrneńskich, Issacharem około roku 1750, było ową iskierką, która podniecona już zkadinąd rozmaitemi messyjenicznemi mrzonkami wyobraźnię młodzieńca, rozpaliła żądzą wstąpienia w ślady Sabbataja uczynienia się prowodyrem tłumów żydowskich, z nieograniczoną władzą nad ich sumieniami i kiesami, i odegrania po raz wtóry roli proroka, wieszczącego tłumom tajemniczą naukę o bóstwie, a w końcu — i roli króla żydowskiego, a nawet ich Messyasza". Te marzenia sławy i władzy stały się jedną z głównych sprężyn, kierujących młodym awanturnikiem; charakterystycznym np. w wysokim stopniu jest fakt, że młody aspirant do messyanizmu odmawiał Sabbatajowi prawa do bóstwa, ze względu, że umarł nie zaznawszy najwyższej słodyczy — słodyczy panowania". Obok tej żądzy panowania, wypowiadanej tak bez ogródek, duszę jego opanowała chuć zmysłowa, rozbudzona rownież przez obcowanie z ową sabbatajską sektą. W kole tem dopuszczano się, pod pozorem obrządków religijnych, najwszeteczniejszych nadużyć płciowych... Polygamia i polyandrya były tu objawem zwykłym, podniesionym do godności kultu religijnego". Chęć panowania i lubieżności kierowały też wszystkiemi krokami Franka aż do śmierci.

Tajemnicze, lubieżne praktyki sekciarza dały powód gminie żydowskiej do wystąpienia przeciw nowatorowi niedogodnemu, bo napadającemu na talmudystów. Prawowierni żydzi przedstawili rzecz tak, jak gdyby prześladowano go za nauki zbliżone do katolicyzmu, przedewszystkiem za naukę o trójcy. Biskup podolski skorzystał z tego, wmieszał się do sprawy i wyznaczył dysputę pomiędzy talmudystami i sektą Franka, która przybrała nazwę antitalmudystów. Przy pomocy duchowieństwa i urzędów antitalmudyści wyszli zwycięzko z tej dysputy. Jednakże po śmierci biskupa karta się odwróciła i zdawało się na chwilę, że żydzi wzięli górę a rola Frankistów w Polsce ma się ku końcowi. Wódz sekty, który krótko „panem" zwać się rozkazał, siedział przez ten czas w Turcyi i został mahometaninem. Jednakże zabiegom wyznawców jego w Polsce udało się uzyskać protekcyę dworu dla antitalmudystów, gdyż zawsze jeszcze widziano w nich ludzi, zbliżających się wyznaniem swojem do wiary Chrystusa. Wówczas Frank wrócił na Podole

---

WANDA (*zadumana chodząc, z goryczą*).
To bajka!

MANIA.
To człowiek byłby szczęśliwszy, gdyby nie był tchórzem. Jechałby na lwie jak na koniu, a węże brałyby z jego ręki chleb jak psy...

JADZIA.
A proszę pani, czy gdyby człowiek teraz zaczął być dobrym dla tych szkodliwych zwierząt, czyby one mogły stać się pożyteczne?

WANDA (*posępnie, z głębi zadumy*).
Dziś zapóźno!

OLEŚ.
To, proszę pani, teraz trzeba je do końca zabijać?

WANDA (*j. w.*)
Jest ich tak mało!

OLEŚ.
A proszę pani, dla czego człowiek czasami łapie zwierzęta i w klatki je kładzie?... Na Bagateli i ja je widziałem... Miały takie smutne oczy, jakby tęskniły do lasu... A ludzie to patrzeli się i dziwowali, że takie straszne zwierzyska jeszcze istnieją.

FRANEK.
Tak ich już mało, że łapią, bo to ciekawość.

OLEŚ.
Proszę pani, to już lepiej zabić je od razu, niż męczyć.

MANIA.
To się rozumie, są szczęśliwe tylko na swobodzie. To pewnie dla tego człowiek je łapie, by im dokuczać i śmiać się z ich kłów strasznych i ryku...

OLEŚ.
Ale czasami, proszę pani, lwy się mszczą i pożerają dozorców. Raz im lew uciekł i strachu narobił w całej Warszawie... Ludzie bali się wyjść na ulicę, żeby go nie spotkać i nie wpaść w jego pazury...

JADZIA (*nagle*).
Co pani jest? Pani taka blada!

WANDA (*blada ze znużenia*).
Nie, moje dzieci kochane, dziś jestem niezdrowa... idźcie już; tylko nie razem, po jednemu.

OLEŚ.
O! wiemy, proszę pani... żeby rewirowy lub jaki szpieg nie zobaczył... Boby pani miała kłopot i mybyśmy uczyć się nie mogli...

WANDA.
Maniu, idź ty pierwsza (*Mania wychodzi*).

OLEŚ.
Proszę pani... wczoraj tu mnie zaczepił koło domu jakiś pan i pytał, zkąd wracam...

WANDA (*niespokojnie*).
I cóżeś odpowiedział?

OLEŚ.
O, nie głupim! pokazałem mu język i uciekłem, bo gdybym mu odpowiedział, toby on z pewnością myślał, że chcę skłamać... A tak to wziął mnie za łobuza i rozgniewał się.

WANDA.
Franek, poczekaj chwilę, potem pójdziesz. Tak róbcie wszyscy po kolei (*wychodzi*).

OLEŚ.
Nie zabieraj Franek książki, bo cię zrewidują i panią naszą na Sybir wyszlą za to, że chce nas uczyć...

FRANEK.
Kiedy ja chcę czytać w domu... wezmę pod sukmankę, to nie będzie znać.

WANDA (*wraca z koszem jabłek*).
Ot, macie dzieci, podzielcie się... Bywajcie zdrowe! Do poniedziałku.

DZIECI (*żegnają się z nią tłumnie*).
Dobrze, proszę pani.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i otwarcie zaczął namawiać żydów do przejścia na katolicyzm, licząc jednakże na to, że będzie mógł zachować nad umysłem prostaczków nieograniczoną, tyrańską władzę. Na czem polegał wpływ ten, trudno wyrozumować. Może jedynie na tajemniczości, jaką się „pan“ otoczył, na niezrozumiałych obrządkach, tajemniczych formułkach itd. Swoich praktyk lubieżnych nie zaprzestał i wówczas nowy prorok, otoczony całym haremem, śród którego działy się rzeczy bynajmniej nie licujące z nauką proroka. Bądź co bądź duchowieństwo uwierzyło w szczere intencye frankistów i po ponownych dysputach z talmudystami, których posądzono o mordy rytualne (bajka ciesząca się wówczas szczególną popularnością), kilkuset mafitów przeszło na łono katolicyzmu, a w końcu sam Frank.

Jednakże owe praktyki tajemnicze spowodowały, jak wspomnieliśmy powyżej, osadzenie Franka wyrokiem sądowym w twierdzy częstochowskiej.

Oswobodzony po latach trzynastu „pan“ wyjechał za granicę, ale zawsze jeszcze, nawet z oddalenia, wywierał bajeczny wpływ na ową grupę neofitów, którzy będąc chrześcianami, nie mogąc się jednakże zespolić ze społeczeństwem, pozostawali i nadal odrębną grupą. Wpływu tego pseudo-prorok używał do spraw bardzo poziomych — do wyłudzania pieniędzy od wiernych i do zaopatrywania swojego dworu w mężczyzn zbrojnych i kobiety. Pieniądze wysyłane do Polski, wdzięki córki, która na czas krótki została metresą Józefa II i zręczne szwindle pozwoliły Frankowi prowadzić do śmierci żywot pański w Niemczech i tumanić umysły ludzi. Po śmierci sekciarza córka jego, panna Ewa, czyli właściwiej Awacza, starała się dalej przeciągać komedyę, jednakże rzecz cała skończyła się najzwyklejszym procesem o podstępne bankructwo.

Pan Kraushar całą tę dziwaczną naturę przebiegłego oszusta przedstawił nam w sposób realny, popierając każde swoje twierdzenie dodokumentami historycznemi. Dzieło jego ma znaczenie podwójne. Przedstawia ońo wierny obraz charakterystycznego dla danej epoki faktu, a zarazem jest przyczynkiem do historyi powstania sekt religijnych. Szczególnie cennym też nabytkiem dla badacza są pod tym względem obszerne wyjątki z ksiąg frankistów, przytoczone przez autora.

Mimochodem, że tak powiem, załatwia pan Kraushar jednę z ciekawych kwestyi państwowego prawa Polskiego. Mianowicie kwestyę wyzyskiwania szlachectwa przez neofitów. Dotąd utrzymuje się bowiem jeszcze pogląd, że neofita, przyjmujący katolicyzm, tem samem nabywał praw szlacheckich. Trudno pogodzić to ze znanym faktem, że szlachta polska zazdrośnie strzegła swego klejnotu i nieraz znakomitym cudzoziemcom odmawiała tego zaszczytu, chociaż się oń ubiegali. Mimo to faktem jest, że niejednokrotnie zdarzały się nobilitacye żydów ochrzconych. Otóż pan Kraushar wyjaśnia rzecz tak: „w statucie litewskim z roku 1588, do art. V roz. X stanowi: „jeżeliby który żyd lub żydówka do wiary chrześciańskiej przystąpili, tedy każda taka osoba i potomstwo ich za szlachcica poczytane być mają.“ Jednakże przepis ten umieszczony jest w rozdziale „O główszczyznach i nawiązkach ludzi nieszlacheckiego stanu“; w rozdz. III zaś statutu „O szlachcie i jej przywilejach“ nie ma wzmianki o neofitach.

A więc wnioskuje autor, jak sądzimy słusznie, prawodawca chciał jedynie przez nałożenie kary na zabójcę ochronić życie neofity, wystawionego na niebezpieczeństwo, z powodu nienawiści dawnych spółwyznawców i dla tego, mówiąc o karach za zabójstwo, umieścił żyda obok szlachcica, ale szlachcicem go nie miał zamiaru robić. Dopiero później interpretatorzy za hojną zapłatą wyrabiali na tej zasadzie neofitom szlachectwo, co zawsze było opacznem tłomaczeniem prawa. Słusznie bowiem twierdzi autor: „Zasada interpretacyi prawa polega na dokładnem rozumieniu całości przepisów, ich pobudek i celów, a nie na cząstkowem i oderwanem od całości ich stosowaniu“. Naturalnie historycy à la pan Habura widzieliby tu zaraz objaw gorliwości religijnej i Chrystusowej pokory szlachty polskiej, która żyda neofitę przyjmuje za brata.

Mar.....ski.

Kobieta na scenie.

I.

Gustaw Dahms przysłużył się wielce pięknej połowie niemieckiego społeczeństwa swem wydawnictwem, zatytułowanem „Walka o byt kobiety w życiu nowoczesnem“ (Der Geistenskamf der Frau im modernen Leben“). Takim tytułem został powiązany niezakończony jeszcze szereg broszur, oświetlających ekonomiczne stanowisko kobiety niemieckiej na różnych polach życia społecznego. Przed kilku tygodniami rozpatrywaliśmy kwestyę małżeńską w Niemczech na podstawie opinii z tych książeczek, napisanej przez prof. Haushofera. Dziś wydawnictwo posunęło się już o tyle naprzód, iż możemy przedstawić położenie kobiety niemieckiej w stosunku do danych źródeł utrzymania. Zaczniemy od sceny.

Dziwnem się może wydać niejednemu, iż kobieta, występująca na deskach teatru, jest wytworem zaledwie kilku ostatnich stuleci. Rolę Antygony w starożytności i pokutującej Magdaleny w wiekach średnich grali mężczyźni w stroju kobiecym. Dopiero włoskie wędrowne trupy, którym łatwo było wyłamać się z pod reguły powszechnej, pierwsze wprowadziły kobietę na scenę. Za ich przykładem poszły i lepsze teatry, gdy trzeba było nabyć dla chóru głos sopranowy. U chłopców bowiem kształconych w śpiewie, tak szybkie następowały zmiany w głosie, iż niekiedy wszelkie trudy kładzione na ich kształcenie szły na marne. Od tego czasu kobieta stała się niezbędnem akcesoryum sceny i, wyrażając się w sposób zbyt profanujący może przenośnie, kapłanką Melpomeny i Talii. W Niemczech — bierzemy w obecnym artykule Niemcy za przykład, ale i gdzieindziej dzieje się podobnież — po dziś dzień jednak rodzice wyklinają córkę, która otrząsa z nóg proch domu ojcowskiego, by porzucić takowy dla teatru. Szczytem hańby jest w Niemczech dla ojca widzieć, jak w obnażone plecy jego niewinnej córki wpijają się rozpalone oczy młodzieńców, a jej usta całuje w obecności całego tłumu jakiś aktor-szałaput. A jakże drży biedna matka na samą myśl, iż jej dziecko, wychowane w obyczajowości, styka się z kolegami i koleżankami, których przeszłość jest ciemną i którzy, jak rozbitki, może zostali wyrzuceni na scenę po przebyciu rozmaitych burz życiowych. Stosunek artystki do jej koleżeństwa nie może być żadną miarą platoniczny. W żadnym zawodzie bowiem w Niemczech nie wre tak walka konkurencyjna, jak w zawodzie dramatycznym. Ci sami artyści, którzy się na scenie całują i karesują, oświadczają i kochają, wydrapują sobie oczy, gdy zetkną się przy współubieganiu o jakąś rolę. Zawziętością taką odznacza się cały personał teatralny, zaczynając od pierwszej gwiazdy scenicznej, a kończąc na ostatniej subretce. Nie należy w tem upatrywać jakiegoś rozczulającego zamiłowania do swego zawodu. Nikomu na świecie chyba nie zależy tak na przestrzeganiu maksymy „carpe diem“, jak artyście. Musi on do swego wieńca chwały codzień niemal wplatać świeże kwiaty sławy i powodzenia, gdyż prędko więdną. Artysta dramatyczny nie jest w stanie produkcyi swego ducha zakuć w marmur, ucieleśnić w farbach i unieśmiertelnić w nutach. Powodzenie jego nie jest wiecznie palącym się ogniem... Jest to płomień, który zaczyna gasnąć z chwilą, gdy zamilknie ostatni oklask zebranej w teatrze publiczności i dla tego należy go ciągle podtrzymywać i podsycać. Tryumfy byłego faworyta publiczności idą prędko w zapomnienie, gdy artysta

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Dokończenie.)

Może też zaraz załatwimy interes, gołąbeńku — powtarza pani Marya, zbliżając się do sali, w której goście z „damami“ tańczyli kadryla, a z której dochodziły rozmaite odgłosy.

— Jestem gotowa, jestem na pańskie rozkazy, ale pan wiesz...

Nie dokończyła zdania, gdy wypadł z sali młody studencik jak szalony i uderzył ją czołem w zęby. Pani Marya zachwiała się pod ciosem i schwyciła się obydwoma rękoma za usta. Potem splunęła krwią.

— O Boże! mój Boże! — jęczy boleśnie — krew! Do krwi ten waryat mię rozbił. Jak opętani są te chłopcy... ach...

Kilka damulek przybiegło, mały człowieczyna również.

— Podać pani wody? — mówi usłużnie.

— Przynieś, gołąbeńku, O Boże! gromy na tych waryatów... — jęczy pani Marya. — Cóż się stało z tym młodzikiem? oszalał? Przeklęty żółtodziób!

Splunęła w kąt, w który poleciał jej papieros i wymyślała jeszcze dobitniej.

Własow rozbił sobie także głowę, lecz odwrócił się tylko raz jeden i pobiegł do przedpokoju.

„Mój gołąbeńku“ słyszał, jak za nim wołano. To samo słyszał już przedtem, zanim ową kobietę roztrącił.

— „Gołąbeńku“ — powtarzał Własow, a wyraz ten wydawał mu się urągowiskiem wobec miejsca, w którem był wymieniony.

Wyrwał płaszcz z ręki odźwiernego, zarzucił go na ramiona i pędził na dół po schodach do drzwi, wiodących na ulicę.

— Nie spieszcie się tak, panie, przyjdziesz pan jeszcze na czas — woła za nim drwiąc zaspany odźwierny, który niemało miał roboty z wyszukaniem płaszcza Własowa.

Na dole Własow zatrzymał się. Pełną piersią wciągnął w siebie zimne, mroźne powietrze. Cicho było. Ciemne niebo skrzyło się gwiazdami, nad głową jego błyszczała konstelacya wielkiego niedźwiedzia. Na saniach spali woźnice, konie stały spokojne, z łbami obwieszonemi, dalej znowu stał rząd sanek. Poza domem srebrzył się wysoko na niebie jak jasna plama księżyc.

— Co to jest? — myśli Własow — czy to wszystko rzeczywiście dzieje się na ziemi?

Na chwilę otrzeźwiał.

— O Boże! jakie to piękne — mówił cicho — a ja? cóż ja zrobiłem?

Doszły go głosy i tony muzyki, od której uciekł. Uczucie rozpaczy, które tam uczuwał, ścisnęło mu serce jeszcze silniej. Uciekać chciał, uciec ztąd daleko, daleko od miejsca, gdzie to wszystko się stało.

— Cóż ja zrobiłem? stałoż się to rzeczywiście? — pytał się wystraszony.

Stało się! Nie chciał sam temu wierzyć.

— Tak, straciłem wszystko, wszystko; wzięli mi to, co najdroższe, najlepsze na zawsze i nigdy już straconego nie otrzymam z powrotem. Uczucie najgłębszej żałości, żałości dotąd mu nieznanej, żałości gorzkiej, nie do ukojenia, uczucie zupełnej bezradności ogarnęło go.

— Uciec? Dokąd? — rozmyślał smutnie.

Zrozumiał, że wspomnienie tego, co się stało, pozostanie w nim, przemieni duszę jego na zawsze z nim związane i przez całe życie prześladować go będzie. Nie mógł myśleć jasno. Myśli jego burzyły i plątały się pod wpływem wina, rozdrabniały się w słowach bez sensu i w frazesach. Skrzypiące tony walca doszły do jego uszu. Własow chwilę jeszcze stał, poczem skręcił boczną uliczką. Po kilku krokach przystanął i rozglądał się, jak gdyby czego zapomniał.

— Tak, — mówi głośno do siebie, a po raz pierwszy w życiu uczuwa coś, jakby szał

schodzi ze sceny, publiczność przestaje pamiętać o istnieniu tego, któremu zawdzięcza tyle chwil wzniosłych rozkoszy.., U artystów niemieckich da się zauważyć dziwne zjawisko. Otaczają oni zwykle czcią i pieszczotami zgasłe gwiazdy sceniczne. Nazywa się je czule „Papachen“ und „Mamachen“. Będąc niegdyś przedmiotem zazdrości nienawiści, intryg i napaści, spoczywająca dziś na więdnących wawrzynach artystka jest ubóstwianą przez młodszą generacyę, która widzi w weterance obraz swej smutnej przyszłości. Starość, której towarzyszy zanik urody, gasi stopniowo aureolę sławy i wznosi chiński mur pomiędzy publicznością a artystką. Ze smutkiem i złością spostrzega ona po niewczasie, iż zachwycano się nietyle jej sztuką, ile kształtami ciała, że uroda jej była silniejszym magnesem, niż jej talent. Jest więc zrozumiałem, iż jak twierdzą znawcy niemieckich stosunków teatralnych, artystki w sprawach zakulisowych wykazują daleko więcej talentu, niż podczas swych występów. Wskutek konieczności ciągłego znajdowania się na czatach i parowania ciosów ze wszystkich stron, zawód ten staje się nieznośnym dla lepszych charakterów. Jest jednakże jeszcze coś bardziej odstraszającego w stanowisku artystki niemieckiej. Kapłanki Talii i Melpomeny, jak wiadomo, życiem swojem przekraczają przepisy konwencyonalnej obyczajowości. Tego jeszcze nie należy nazywać zdrożnem. Pierś wielkiego artysty rozpierają zwykle namiętności, które znajdują swe ujście nietyle w jego produkcyi scenicznej, ile w jego życiu prywatnem. „Odkąd aktorzy przestali być łobuzami“ — wyraziła się Gossmanowa, obecnie hrabina Prokesch-Osten, tracą prawo do miana artystów. Rozmachy duszy artystycznej nie dadzą się skrępować żadnym hamulcem; istoty artysty nie należy wtłaczać w model, zdjęty ze zwykłego śmiertelnika. Czego opinia publiczna nie przebacza tuzinkowemu człowiekowi, musi jednak być odpuszczonem artyście. Nie w tem więc zgorszenie. Rozpoczyna się ono wtedy dopiero, gdy artystka uprawia swój zawód jako zajęcie poboczne, dodatkowe, gdy zawód jej służy jako reklama dla jej łaknącego miłości i pieniędzy serca. Takie traktowanie rzeczy jest na rękę dyrektorom teatrów niemieckich. Zamiast wypleniać na scenie tego rodzaju objawy, krzewią je z gorliwością godną lepszej sprawy. Znajdują oni dzielnych pomocników w sprawozdawcach gazetowych, którzy wynoszą pod niebiosa suknię artystki X. Pod tym względem scena niemiecka na całym obszarze państwa stała się prawdziwą stajnią Augiasza, którą chyba zdoła oczyścić jakiś Herkules. Wzajemne prześciganie się w tualecie doprowadza do tego, że ta ostatnia staje się pierwszym warunkiem powodzenia artystki. Premiera „zrobi klapę“, gdy artystka nie wystudyuje w magazynie tualety we wszystkich szczegółach. Na przymierzanie sukni odchodzi więcej czasu, niż na wyuczenie się roli. Autor, który nie daje okazyi do efektów toaletowych, nie może liczyć na poparcie w świecie teatralnym. Dyrektor sam cieszy się, gdy artystka olśniewa swym strojem. Nie wydatkuje on na takowy ani jednego fenyga, wie z góry, że artystka, która nie chce wpaść w niełaskę u publiczności, postara się o to, by jej nie zabrakło odpowiednich środków dla swych strojów. „Czy masz pani jaki miłosny stosunek“ — zapytał się z cynicznym spokojem reżyser jednego z teatrów ludowych biednej artystki, która pretendowała do ról pierwszej kochanki, nie odznaczając się jednakże bogactwem toalety. Podczas więc gdy panie niemieckie zabraniają służącym mieć „Schatza“, dyrektorowie teatrów zacierają ręce, gdy ich podwładne mają powodzenie na tem polu. Prywatnego przedsiębiorcę teatru obchodzi jego kasa a nie cnota artystki. Większa artystka nigdy nie jest w stanie utrzymywać się ze swej gaży, którą pobiera tylko „honoris causa“. Scena jest jednak dla przystojnej i niezasypiającej gruszek w popiele artystki o tyle intratną, że wyprowadza ją na pokaz publiczności i daje możność zwerbowania tych, których ojcowie uzbierali grosze dla jej garderoby. Nie należy się więc dziwić, iż w wielu teatrach niemieckich dyrektorowie, reżyserowie i sekretarze sprzedają z licytacyi różne role. Nie koniec na tem. Pomiędzy kontrahentów, dyrektora i artystę, wciska się agent teatralny, kreatura wstrętna i szkodliwa. Musimy w tem miejscu cofnąć się nieco wstecz. Już po r. 1866, gdy zaczyna się upadek teatrów nadwornych, wyrastają jak grzyby po deszczu teatry w miastach prowincyonalnych. Sztuka dramatyczna staje się zawodem i nabiera większego znaczenia, gdyż dyrektorzy dla dogodzenia publiczności starają się o ciągłą zmianę personału. Po r. 1871 teatr niemiecki zaczyna się staczać po pochyłej płaszczyźnie wolności procederu. Zakładanie i kierownictwo teatru stało się, dzięki prawodawstwu, przystępnem dla każdego, kto zyskał koncesyę. Ta zaś była udzielaną nie na jakieś określone terytoryum, lecz na cały obszar państwa. Dyrektor rozkładał swój tabor, gdzie mu się podobało, rzucając na pastwę losu personal przy każdej zmianie miejsca pobytu. Powstała gorączka teatralna, której nie zdołały ostudzić nawet bankructwa dyrektorów, gdyż miejsce tych ostatnich zajęli ich wierzyciele. Ta konkurencya teatrów przyczyniła się wielce do zabagnienia dziedziny sztuki dramatycznej. Agentury teatralne podjęły się dostawy taniego towaru; one też stały się kanałami, przez które spływały do teatru szumowiny społeczne. Teatry zaś zaczęły spekulować na najbrudniejsze instynkty tłumu. W takim świecie musi artystka obracać się i pracować. Zgłosiwszy się do agentury, mało wskura swym talentem, jeżeli nie prześcignie w hojności swojej bogatej hontrahentki, ofiarującej pieniądze swego przyjaciela. Agent, otrzymawszy swoje faktorne, nadsyła dyrektorowi najlichszy towar, gdyż go mało grzeje i chłodzi dobro sztuki. Dyrektor odbija to sobie na pensyi artystek. W ten sposób wszyscy się wzajemnie wyzyskują na conto złotej młodzieży. Jeżeli zaś dyrektor zwęszy, iż jego ofiara posiada wśród „miłośników sztuki“ swych wielbicieli, oznajmia jej pewnego dnia swe zdziwienie, że tak bogata i opływająca w dostatki osoba nie wzdraga się brać od biednego dyrektora marne 25 lub 30 marek tygodniowo. Artystka kwituje wreszcie zupełnie z pensyi, zawód artystyczny daje jej bowiem utrzymanie, a jej protektorowie rozkoszują się myślą, iż ta kobieta, do której strzela oczyma kilkaset osób co wieczór, której wdzięki budzą zachwyt — jest ich prywatną własnością. Nie jest to wszakże jakaś kryjąca się w zmroku dahulka. W świecie teatralnym Niemiec zagnieździł się więc na dobre półświatek. Agenci teatralni są po większej części lichwiarzami, u których w kieszeni siedzą dyrektorowie. Biedna artystka w tej jaskini zwierząt ginie, jeżeli nie posiada wybitnego talentu, dającego jej możność wydostania się na wierzch. Dyrektor bowiem rozporządza wszelkiemi środkami dla wysysania swej ofiary, jak wampir. Jeżeli się zdarzy, że przed przybyciem transportu z żywym towarem, jakaś artystka zdołała sobie zaskarbić łaski publiczności, dyrektor wypycha nowoprzybyłą za drzwi. Jeden bowiem z paragrafów umowy głosi, iż dyrektor ma prawo oceny w kwestyi zdolności artysty; gdy ten okazuje się pozbawionym odpowiednich kwalifikacyi, dyrektor może go się pozbyć, zapłaciwszy tylko jedną czwartą miesięcznej pensyi. Teatr z przybytku sztuki staje się giełdą. Nie jest to tajemnicą, że agentury teatralne sortują swój towar odpowiednio do ciała i stanu majątkowego. Jakże smutne koleje musi przechodzić aspirantka do zawodu artystycznego, która z czystą duszą i świadomością swego honoru wstępuje na deski teatralne. Tęczowe nadzieje pierzchają; jedno złudzenie za drugiem pryska i wreszcie znękana, zbolała, staje przed murem wyzysku i prostytucyi, którego nie przebije nigdy swoją głową. Gromkie frazesy o doniosłem posłannictwie sztuki dramatycznej okazują się wtedy mistyfikacyą i blagą. Ten sam charakter handlowy noszą szkoły dramatyczne i t. zw. akademie dramatyczne. Przedsiębiorstwa tego rodzaju mają na celu przedewszystkiem znaczne

---

się zbliżał. — Tak! „gołąbeńku“ — mówiła... — jak pożałowania godni są tam wszyscy, a księżyc jaki piękny...

Własow zdjął nagle kapelusz i przeżegnał się kilka razy.

— O Boże, dopomóż mi, zbaw mię. — mówi szeptem — dopomóż...

Na ulicy było cicho, oświetlona była jednak niezwykle. Oprócz latarni paliły się przed zajezdnemi bramami „instytutów“ kolorowe latarnie, z okien wesołych „domów“ jasne biały światła.

Dwóch studentów i jakiś pan w szarej czapce przejeżdżało około niego sankami; śpiewali jakąś sprośną piosenkę. Z domu, koło którego Własow stanął, wychodził oficer, mrucząc pod nosem i wywijając ręką. Gdzieś w dali słychać krzyk dzikiej rozpaczy. Jakaś atmosfera tajemnicza przepełniała życie nocne tej ulicy. Pijacy wrzeszczą, a okna oświecone nie tają tego, co się tam dzieje.

— Nie spieszcie się, wrócisz na czas — powtarza Własow słowa odźwiernego — nie, nie wrócę na czas!

Nagle przypomniał mu się frazes Iwańskiego: „niema alchemii politycznej“, — tak jest, niema jej rzeczywiście.

Własow przeląkł się sam. Co się z nim dzieje? Czy on oszalał? Zarzucił płaszcz na głowę, ściskał go mocno ręką i biegł, jakby go kto gonił. Na rogu jednej z ulic roztrącił stróża i byłby sam upadł.

Teraz dopiero spostrzegł, iż pozostawił tam kalosze.

— Nie padnij, nie padnij — woła za nim dobrodusznie stróż.

— Zapomniałem kaloszy, zgubiłem je, kosztowały trzy ruble — mówi Własow — ale niech tam! Na co one mi teraz potrzebne? Nie potrzebuję niczego, niczego.

Spojrzał na stróża, nagle zawstydził się, patrząc w oczy innemu człowiekowi, jak gdyby wszyscy wiedzieli, nawet stróż. co on uczynił.

Gdyby się teraz była przed nim otworzyła przepaść, byłby wskoczył bez namysłu do niej, aby się przed ludźmi ukryć, przed całym światem.

Pobiegł i jedna tylko myśl w nim nurtowała: stracony na wieki i zmarnowany! męczyła go i uderzała w niego, coraz więcej go drażniąc.

Jakżeż się to stało? Jakżeż on mógł dopuścić do tego. Na to pytanie nie znalazł odpowiedzi. Stracił wszystko, wszystko...

Tę tylko miał świadomość. Własow pędził jak opętany przez ulice i uliczki; wytchnął i szedł wolniej. Gdy wypoczął, pędził znowu w kierunku swego mieszkania.

Czuł, że jest oszołomiony, nieszczęśliwy, stracony na zawsze. Stanął przed domem. Gdy wszedł do pokoju nie zapalił lampy, lecz rozebrał się prędko i schował się pod kołdrę. Leżał bez ruchu a twarz ukrył w poduszkach.

Zaczął rozmyślać, chciał wymyślić coś jasnego, pochwytnego — lecz szeptał tylko — Boże mój, ratuj mnie, wybaw mnie, mój Boże — a potem ogarnął go sen ołowiany.

VI.

Na drugi dzień obudził się Własow dopiero około południa. Otworzył oczy, rozejrzał się w około siebie, wejrzał w głąb swej duszy i nie poznał ani otoczenia, ani siebie. Zamiast swobody, jaką zwykle uczuwał, gdy się obudził, uczuł ciężar na duszy, który mu życie uprzykrzał. W ustach miał gorzki wstrętny smak, głowa zdawała mu się ciężka jak z ołowiu. Naraz obudziły się wspomnienia z dnia wczorajszego. Wszystkie szczegóły stanęły mu przed oczyma.

Lecz nie opanował go ani przestrach wczorajszy ani rozpacz, obojętnym był na wszystko, przemęczonym. Począł dumać, próbował znowu wyrzekać owemi słowy: „stracony, wzięli mi wszystko!“ lecz spostrzegł, że nie robi to na nim wrażenia. Nie odczuwał ani współczucia dla siebie, ani obawy, ani żalu. Stan jego był stanem zupełnej duchowej apatyi.

Teatr — ciągnie się wątek jego myśli dalej — następnie wódka, trójka, potem owa

zyski, muszą podporządkowywać interesy sceny i sztuki apetytowi swojej kieszeni. W takim razie starają się o możliwie największą ilość uczniów, nie dbając o to, że duża liczba staje w tym wypadku na przeszkodzie jakości ich wykształcenia. Rolę kierowników biorą na siebie najczęściej zapoznani przez świat geniusze artystyczni, którzy potrafią swym wychowańcom zaszczepić zarazek najgorszej rutyny, lecz nigdy nie obudzą do życia drzemiących w nim sił i talentu. Często są to nawet wykolejeni dyrektorowie teatrów, nieznający się na sztuce i wytwarzający tylko pozbawiony odpowiednich zdolności proletaryat artystyczny, szkodliwy o tyle, że obniża wysokość płacy w tym zawodzie.

H. F.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wrażenia z Cieszyna.

I.

Kiedym dość nałykał się już kurzu wielkomiejskiego, zapragnąłem świeżem odetchnąć powietrzem. Wyruszyłem tedy do księstwa Cieszyńskiego i Galicyi, aby przy jednym ogniu dwie upiec pieczenie — odpocząć i przyjrzeć się okolicom górzystym, stosunkom i ludziom. Dziś zaś zamierzam wypowiedzieć słów kilka o tem, co widziałem.

Księstwo Cieszyńskie było pierwszym moim przystankiem. Przejeżdżałem przez okręg ostrowsko-karwiński, ściśle przemysłowy i w płody górskie bogaty. Ale i pola żyzne, dobrze uprawne, budynki bardzo porządne, mnóstwo sporych sadów, otaczających murowane chałupy wiejskie, nęciły oko i pocieszały mnie tem, że chociaż lud ten w całej pełni uczuć narodowych do nas jeszcze nie należy, ale za to względnie zamożnym nazwać go można. A lud zamożny, którego charakter nie został jeszcze skrzywionym, to ogromna bryła złota. A lud ten do tego w znacznej części czyta i pisze, i to wszystko razem jest lud polski. Czyta, pisze i złoto posiada — i to „nasz" lud — prawda, że to coś nieznanego, przynajmniej w państwie austryackiem.

Przyjeżdżam wreszcie do Cieszyna, mając przekonanie, urobione z książek, że po polsku rozmówić się tam trudno. Ale to są bajki wierutne. Nie znalazłem ani jednego miejsca, gdziebym się nie mógł rozmówić po polsku. Wstępowałem tu i owdzie do sklepów, byłem nawet na poczcie, ale i tu odpowiadali mi po polsku. Najgorzej względnie szło w jadłodajniach i kawiarniach, choć i tu znajdzie się zawsze choć jeden kelner mówiący po polsku.

Cieszyn, miasto liczące tylko z górą 17 tysięcy, nie może mieć wielkiego ruchu, a zresztą ludzie są w pracy, więc w dzień powszedni mało ich tu spotykałem. Za to w niedzielę, zwłaszcza z rana, zgiełk wielki. Wszystko co żyje spieszy do kościoła. Okoliczni mieszkańcy wiejscy przychodzą też do Cieszyna. W dzień tedy świąteczny można się przyjrzeć ludowi. Przyjemnie popatrzeć nań, zwłaszcza gdy w kościele zanosi modły do niebios. Nie spotykamy tu żadnych krzyków, żadnych gwałtownych zgięć i pokłonów. Na obliczu maluje się spokój, pogoda, — modlitwa czy śpiewy płyną poważnie, — znać, że ludzie przejęci, — oni modlą się, rozumiejąc co czynią. Od czasu do czasu wzniesą oko; na ustach czujesz lekkie westchnienie, i znów oko spoczywa na ogromnych rozmiarów książce, oko, z którego spoziera dobroć i łagodność.

Na ulicy rozmawiam z tym i owym, wszędzie taż łagodność, miękkość, wszędzie uprzejmość, wskazują mi wszystko, o co proszę, — nie byle zbyć, ale dokładnie. Przytem zazwyczaj popatrzą na mnie uważnie, ja im objaśniam zkąd jestem, pocom przyjechał, że chciałem zobaczyć, jak się mają moi rodacy na tym krańcu Polski. Nie powiem, abym w ich obliczu widział zupełne zrozumienie, że ja z pod panowania rosyjskiego mogę być tem samem, co i oni. Ale widoczne było, że musiano im o tem już mówić, bo kiwali głową: „To pan z daleka! no! i żeby nas zobaczyć?!" I zdało mi się, że przyjmowali poniekąd za możliwe, iż jestem kimś im blizkim. Zawsze wspólność mowy robi swoje. Czujemy się wówczas niejako spokrewnieni.

Przyznam się, że oglądanie i rozmowa z ludem w Cieszynie była dla mnie najprzyjemniejszą, ale żal, że z przyjemnych jedyną prawie chwilą. No, nie, nie tak źle! Boć miło mi było, gdym się mógł prawie wszędzie rozmówić po polsku, a jeszcze i to, że szyldy wystawowe są w znacznej części w języku polskim i niemieckim; rzadko tylko w samym niemieckim, o wiele rzadziej t. j. prawie wcale, w języku czeskim i niemieckim.

Ale za to napisy ulic wszystkie po niemiecku. Napisy te jednak są tylko jedną z szeregu nieprzyjemności, jakiemi Cieszyn mnie karmił.

Bo proszę mi powiedzieć, dla czego n. p. czytelnia ludowa, mająca wcale sporą biblioteczkę, wiedzie żywot suchotnika. Czytelnia ludowa na kresach wykazuje ruchu rocznego 1800 książek, wypożyczanych ludowi. To wstyd i niedołęztwo! Do 7000 Polaków z Cieszyna i okoliczni mieszkańcy tak mało użytkują książek! Czyżby ci ludzie nie mieli pociągu do czytania, czyżby nie rozumieli potrzeby oświaty? Ale dziś, kiedy tak wielka liczba młodzieży została zapisaną do gimnazyum cieszyńskiego, podobnego wniosku nie można wyprowadzić. Prostsze tłomaczenie: obojętność lub niedołęztwo. Był np. czas, kiedy istniejące przy Towarzystwie dobroczynności w Warszawie czytelnie nie cieszyły się zupełnie ruchem. Ale czyż winą temu byli czytelnicy? nie! W przeciągu bowiem dwóch lat jedna z panien podniosła ilość wypożyczanych książek z 800 na 30 tysięcy, a inne z dwóch na 20 tysięcy. A więc chęć ku czytaniu znalazła się. Ale te szlachetne osoby poświęcały się swej robocie z zapałem. One starały się poznać upodobania czytelników dobierały im książki, nie żałowały czasu, aby udzielać objaśnień, choć w krótkości, o ile tego zachodziła potrzeba. One prowadziły swoich czytelników, one ich kształciły stopniowo. A nie dawały im nigdy pierwszego lepszego klituśbajduś. A co się dzieje w cieszyńskiej czytelni ludowej? Książki w wielkiej ilości kąpią się bez porządku w kurzu i pleśni, nie czytane i niewidziane. A lud, czy zawsze dostaje odpowiednie książki? Zbyt dużo tam klerykalizmu! Same religijno-moralne lub ciepłokluskowe książki nie wybawią mózgów z gęstego zmroku. Beletrystyka też nie jest najpożywniejszym dla umysłów pokarmem, chyba, że dobrze dobrana. Prócz tego zdaje mi się, że czytelnia kuleje nieco odnośnie ilości poważniejszych książeczek ludowych. A dalej, czy pisma znajdujące się w czytelni są odpowiedniemi, czy mogą służyć za posilną dla mieszkańców Cieszyna strawę? Mojem zdaniem nie! Znalazłem wprawdzie sporą liczbę pism codziennych, nawet względnie postępowszych i trochę popularnych ludowych tygodników, między niemi i „Gazetę Świąteczną" z Warszawy. Ale i tu za dużo klerykalizmu! Ale i tu rzeczy zupełnie niepotrzebne, jak, o ile mnie pamięć nie zawodzi, „Przegląd" p. Masłowskiego ze Lwowa i „Krakus". Mniemam, że pożądańszem byłby jaki tygodnik poważniejszy lub nawet miesięcznik. Kto wie, może ten lub ów przejrzałby rychlej i więcej wyniósł korzyści, przeczytawszy jeden artykuł z miesięcznika, niż gdy pochłonie 10 pisemek codziennych. A przecież myślę, są w Cieszynie tacy, którzy poważniejszych spragnieni są rzeczy. Ja sam poznałem kilku młodszych ludzi, chętnych do tego. A zresztą mniej chętnych mogliby pobudzić ciekawsi.

„Rumunia", książę, szampan. Tak, a potem zajechali przed restauracyą, uczęstowali woźniców a potem pojechali „tam". Jak to wszystko gładko poszło. Przypomniała mu się jego wczorajsza odwaga. Zachciało mu się odegrać rolę zucha, być przywódcą towarzystwa, nietylko brać udział w szaleństwach, lecz przodować w nich. Tej strony swego charakteru dotąd nie znał.

Dziwił się nad dzisiejszą obojętnością, wobec tego, co wczoraj popełnił. Wczoraj zupełnie inaczej myślał.

— Nie lepiej znowu usnąć? — pytał się przymykając oczy.

Zamiast tego podniósł się na łóżku i objął rękoma kolana. Twarz miał zapadłą, bladą, wyraz jej był melancholijny, oczy jego zamgliły się i zapadły. Spojrzał na Iwańskiego, śpiącego z otwartemi usty.

— Co za wstrętna twarz! — pomyślał Własow.

Spojrzał przez okno, przez którego szyby przeświecało jasne słońce. W pokoju te same były przedmioty, jak wczoraj, szkielet, książki, czaszka.

— Jakie to wszystko nudne — nikt tego nie potrzebuje i na nic się to nikomu nie zda! Jaki nieprzyjemny odór z tych obrzydliwych kości!

Własow opuścił głowę w zadumie. Na nogach jego rozpostarta była kołdra, do której się tak przywiązał.

— O, gdyby ona o tem wiedziała! — przypomniała mu się matka. Może się rozchoruję, przyszło mu na myśl. Dobrze, bardzo dobrze. Jakaś kara powinna mię spotkać.

Myśl owa nasunęła nowe refleksye.

— Tak to więc człowiek rozpatruje się w sobie. Pogardzasz sobą, taki jesteś zrozpaczony, że nawet choroby pragniesz, jako karę za słabość i sprosność.

Smutno mu było.

— A żyć przecież trzeba — snuł dalej wątek myśli, budząc się z apatyi — tak, trzeba żyć dalej.

Spojrzał na rękę. Wydawała woń, jaką ów dom był przepełniony, jaka biła od owych kobiet. Własow chciał wstać i umyć się. Nie ruszył się jednak z miejsca, ręką tylko przeczesał włosy.

Wszedł Zajączek przynosił buty i ubrania.

— Dzień dobry — mówi dobrodusznie — piękny dzień dzisiaj, marznie, blizko 20 stopni.

Własow spojrzał na niego obojętnie i nic nie odpowiedział.

— Wielmożny pan dzisiaj taki smutny — pyta Zajączek, zatrzymując się przy drzwiach. — Wczoraj taki wesół, a dzisiaj... o, to nie dobrze.

Własow uśmiechnął się i nic nie odrzekł.

Zajączek spiesznie opuścił pokój.

— Wczoraj wesół, dzisiaj smutny, — powtarza Własow — o wierzę, wierzę.

Wystawiał sobie jakim był i jakim jest teraz. Przypomniał sobie wczorajsze rano, nagle miał ochotę zapłakać.

— „Stracony, wzięli mi wszystko" — znowu odzywało się w nim, jak wczoraj, gorzko i boleśnie.

— Boże mój, dopomóż mi, wybaw mię.

Własow wyszedł z łóżka i zbliżył się do okna. Przyłożył głowę do zimnej szyby i patrzył na ulicę.

Piekarz przechodził ulicą; zapalił papierosa. Własow obserwował. Wzbudziła się w nim ochota do palenia. Podszedł do stołu, wziął papierosa z Iwańskiego papierośnicy i zaczął się chciwie zaciągać. Zdawało mu się, iż sprawia mu to ulgę.

— Co tam robisz? — odzywa się Iwański, który wbrew zwyczajowi bez mruczenia powstał.

— Palę, jak widzisz.

— Aha! — odpowiedział Iwański.

Własowa zadziwił odcień jego głosu.

Iwański musiał już dawno nie spać, może po cichu nad czem rozmyślał.

— Dawno już nie śpisz? — spytał Iwański.

— Nie dawno.

Własow znowu poszedł do okna.

A czy jest w czytelni jaki inny ruch? Nie wiem! To jest wiem tyle, że wogóle panuje tam cisza.

Jak żywo mi puls zatętnił, gdym ujrzał dom ozdobiony ogromnemi głoskami złoconemi „Bazar cieszyński“. No, panowie szlachta, powiadam, wiedźcie mnie w jego progi. Przypatrz się pan napisowi, mówią, bo to jedno, co z niego pozostało. Bazar był, ale się zmył, jak mówi przysłowie. Jak nasi bracia poczęli go wyzyskiwać, tak biedak wyzionął ducha.

No, a czy nie macie jakiego stowarzyszenia spożywczego? Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Ale panom rzemieślnikom pewnie tu dość ciężko idzie z pożyczką? Czy też nie macie jakiejś kasy pożyczkowej, może bezprocentowej, któraby pozwalała rzemieślnikom w razie bankructwa podnieść się o ile można najrychlej? Tak, to przydałoby się — odpowiedziano mi.

Ale porzuciłem tak wzniosłe zapytania i z utopijnej rozmowy przeszedłem do najprozaiczniejszej pod słońcem, mianowicie spytałem, gdzie tu można zjeść obiad w polskiej jadłodajni. I tego niema. Jest w Cieszynie garstka Polaków, która stołuje się w restauracyi czeskiej, a nawet w niemieckiej! Wogóle jadłodajnie i kawiarnie, o ile zauważyłem są w rękach Czechów, którzy między innemi są w znacznej części urzędnikami jak n. p. poczty. (Czechów w Cieszynie jest najwyżej 600.) A jaka różnorodność polskich pism w owych garkuchniach. W jednej znalazłem dziennikarstwo nasze reprezentowane przez „Przegląd“ Masłowskiego — i tyle — a przecież Polacy tam chodzą! W innem miejscu znalazłem znów tylko „Gwiazdkę Cieszyńską“.

Czy „Gwiazdka Cieszyńska“ jest pismem wystarczającem dla rozwoju polskości i pojęć wogóle, czy zajmuje się zadawalająco choćby rzeczami miejscowemi? Mniemam, że żadnemu z tych warunków dostatecznie nie odpowiada. Pismo czeskie „Czeskie Nowiny“ o wiele dokładniej informują o tem, co się dzieje w Księstwie i obfitsze podają rady i wskazówki. A zresztą „Gwiazdka Cieszyńska“ nietylko w treść jest ubogą, lecz przytem często za mglistą — niedopowiada, jest zanadto, jak mówią, skrępowaną względami zakulisowemi i boleć tylko trzeba, że wydawcy znajdują poważne przeszkody w pracy nad ulepszeniem pisma. Bo tak, jak jest, „Gwiazdka“, wcale nie wystarcza. Pismo to, jeśli chce pracować z korzyścią, musi drew dołożyć do ognia swojego i iść w duchu swobodniejszym, pewniejszym; musi być ruchliwszem i treściwszem, a zwłaszcza mniej służalczem a więcej samodzielnem w stosunku do kleru. Czy się jednak „Gwiazdka“ rychło przemieni? przerobi? Wątpimy. Czekać nie można! Tu trzeba jakiejś nowej siły energicznej, która poczęłaby wydawać nowe pismo, a możnaby spróbować, zamiast tygodnika redagować dziennik, który w cieszyńskich stosunkach nader jest pożądanym.

Mówię wyłącznie tylko o „Gwiazdce“, bo to jedyne pismo ogólniejsze, a w Cieszynie o takie zwłaszcza chodzi.

Warszawianin.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI
w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

W obecnej chwili odbywa się wystawa polskiej sztuki i przemysłu we Lwowie. Rząd zabronił stanowczo, by ktokolwiek ztąd w niej udział przyjmował (niemniej, w niektórych wypadkach potrafiono obejść to postanowienie). Nasunęła się przytem kwestya, czy pisma tutejsze mają prawo wspominać o tej wystawie. W pierwszym miesiącu jej istnienia było to bezwarunkowo wzbronionem, później dano znać kierownikom pism, iż dozwala się każdemu z nich umieścić cztery korespondencye ze Lwowa w odstępach dwutygodniowych. Korespondencye te, nie mające pod żadnym warunkiem przenosić stu wierszy druku, uwzględniać miały tylko przemysłowy dział wystawy, o sztuce nie wolno było wspominać ani słowa. Redaktor N. opowiadał nam, iż zeszłej zimy wzywanym był do oberpolicmajstra, który głosem drżącym od tłumionego gniewu i oburzenia spytał go, co mają znaczyć litery J. C. M., umieszczone w jednym ustępie jego rękopisu. Naturalnie Jego Cesarska Mość — przecież to jest przyjęte skrócenie. — Aha! to pan ośmielasz się skracać tytuł najjaśniejszego Pana, nie masz pan dość miejsca w swem piśmie na jego całość... w takim razie możesz pan być pewnym, że *On* znajdzie dla pana miejsce, w którem nie wiem, czy się panu podoba przebywać, tymczasem za sam zamiar ten masz pan zapłacić 600 rs. kary.

Widziałem na własne oczy w Warszawie rażące przykłady brutalności policyjnej władzy. Przy lada sposobności policyanci uderzają i potrącają pochwą od szabli biednych dorożkarzy, którzy ze swemi numerami na plecach robią już i tak wrażenie niewolników. Tu na wsi w postępowaniu z włościaninem władze rozumieją tylko gwałt i nacisk. W szkołach wiejskich językiem wykładowym jest rosyjski, którego chłopi nie rozumieją, ale ponieważ uczęszczanie do nich nie jest obowiązującem, bardzo nieliczna garstka dzieci się uczy. W sądzie używanym jest też wyłącznie język rosyjski, w sprawach więc kryminalnych oskarżony nie ma nawet możności skontrolowania dokładności swych zeznań. Całą działalnością ze strony rządu na korzyść chłopa jest usiłowanie podburzania go przeciw zamożniejszej klasie i przyznawanie mu racyi we wszelkich sądowych zatargach z jej przedstawicielami. Jeden z tutejszych obywateli dopilnował wraz ze swym leśniczym czterech złodziei zwierzyny i złapał ich właśnie w chwili, gdy zdobycz swą ładowali na wóz. Złodzieje uciekli, ale właścicielowi udało się schwycić zwierzchnie okrycie jednego z nich dla przedstawienia go w sądzie jako dowód. Winowajców uwolniono, gdyż wobec tego, że przeczyli temu stanowczo, nie uznano za dostatecznie udowodnione, iż zwierzyna, znajdująca się na wozie, była własnością wyżej wymienionego obywatela. On zaś ponownie został wezwany do sądu i skazany na trzy miesiące aresztu za *samowolne przywłaszczenie sobie ubrania.* W ten to sposób rządzi tu sprawiedliwość, a za jedyną pociechę uważać można to, że jakkolwiek jest bardzo źle, nic nie stoi na przeszkodzie, by nie było gorzej; cieszą się ludziska, że to gorsze jeszcze nie nadeszło. Znaną jest i przysłowiową polska rezygnacya: jakiś człowiek podniósł głowę w chwili, gdy przelatująca nad nim jaskółka upuściła coś, co mu wprost na twarz upadło: „Co za szczęście, że krowa nie ma skrzydeł“ zawołał tylko.

Polacy są dziwnie niespożyci w swem nieszczęściu. Żyje się tu, jak żyje amputowany, który jest oczywistym dowodem, iż można się obejść bez ramienia, nogi, oka, a przecież być zawsze człowiekiem i członkiem społeczeństwa. Odcięci najkompletniej od wszelkiego życia politycznego, jako też pracy w kierunku rozwiązania zagadnień socyalnych, nie mogąc dążyć bezpośrednio do narodowych celów, tem intenzywniej żyją tu tem, co im pozostało. Podobni są do owego Joziasza Rantzau, który utraciwszy tyle, zachowywał niezmiennie humor swój i energię. Czują i myślą całą pełnią serca i duszy, jak i gdzieindziej, a z ust do ust przechodzi to, czego napisać lub wydrukować nie wolno.

W tej chwili niebo jest pogodne i jasne, a widok, jaki przez siatkę okna przedstawia się oczom moim, pełen cichego i spokojnego uroku. Bliżej trawnik, usiany wysoko rosnącemi różami, jaskrawem kwieciem pelargonii, wśród nich oryginalnym efektem odbija jakiś białolistny krzaczek, na dalszym planie grupują się stare, wspaniałe drzewa parku, otaczające poważnie półkolem tę pełną słońca i barwy płaszczyznę. Powóz zaprzężony czwórką koni oczekuje na nas przed bramą. Tak, życie jest pięknem, dopóki trwa! Mérimée miał zwyczaj wyrażać w ten sposób swój pogląd na życie: Arlekin wypadł z okna piątego piętra, a gdy przelatywał około trzeciego, spytał go ktoś, jak się czuje: nieźle, odrzekł, byleby tak trwało“. Wiemy wszyscy, jakiem będzie zakończenie i upadek, ale dopóki jesteśmy w powietrzu, czujemy się nieźle. Jeżeli ten list mój dojdzie waszej gazety, dowiedzą się ci, co pisywali do mnie, dla czego nie otrzymali dotąd na swe listy odpowiedzi.

II.

Około godziny 7-mej wieczorem, gdy upał przestaje być dokuczliwym, całe towarzystwo opuszcza swoje pokoje; ten jedzie sobie konno, owi spacerują po polach, inni wreszcie, starsi, zadawalają się małą przechadzką po ogrodzie. Dziś, gdy nasz gospodarz zeskoczył z konia u trawnika przed werandą, a panna Zofia po długiej rozmowie w ogrodzie, w której przyszłość ludzkości i związane z nią kwestye miłości, religii i moralności traktowane były wyczerpująco, znalazła się także w pośród nas, podałem pani domu świeży zeszyt *Revue de Paris,* z prośbą o przegranie i zaśpiewanie nam głównego ustępu hymnu do Apollina (muzyka i tekst), znalezionego w Delfach, który tam był przedrukowany. Zaczęła śpiewać i naraz zawo-

---

Stał boso i w koszuli na zimnej podłodze, zaczął drżeć z zimna. Lecz dreszcze te sprawiały mu przyjemność.

Iwański zapalił także papierosa.

— No, pewno jesteś smutny? — zapytał po chwili miękko.

Własow nie odrzekł nic.

— Żal ci? – zaczął Iwański poważnie, — nic nie szkodzi, duszko; wszyscy to samo przechodzimy. Nie zważaj na to, już ci tego nikt nie wróci.

Własow jeszcze ciągle milczał. Nagle wstrząsnął się całem i szlochał, tak szlochał, jakby w nim struny serdeczne pękały. Szlochał jak małe dziecko.

— Dobrze ci mówić, że nikt mi tego nie wróci. — wybuchnął wśród łez. — Łatwo ci mówić, zapomniałeś jak trudno jest tracić, tracić najdroższe, naj....

Zajęknął się i zwrócił swą dobrą, otwartą twarz na Iwańskiego.

— Nigdy sobie tego nie daruję, — dodał, z trudnością wydobywając słowa. — I czemuż ja to zrobiłem, czemu? O! to okropne — na zawsze, na wieki.

Zamilkł, opuszczając głowę, jak gdyby się zadumał. Nagle rzucił się na łóżko, położył się plecami do góry i zagrzebał twarz w poduszkach. Całe ciało jego drgało konwulsyjnie i podnosiło się od głuchego szlochania.

— Przestań, przestań, — szepnął Iwański cicho, a głos jego drżał.

Chwil kilka milczeli obydwaj.

— Piotrusiu! słuchaj — mówi Iwański, unosząc się na łóżku i podchodząc do łkającego Własowa, – przebacz mi. Na miłość Boga, proszę cię, wybacz mi, — ja sam wszystkiemu jestem winien.

Pieszczotliwie położył dużą dłoń swoją na ramię Własowa. Począł mrugać oczyma.

— Gdybym nie był się upił, bylibyśmy wrócili do domu, tak jak ty chciałeś.

— Ależ nie — mówi Własow z pod kołdry — to nie o to chodzi. Ty nie jesteś winien, doprawdy, nie! Ja sam wszystko zrobiłem. Ja sam... a potem... Ja sam nie wiem doprawdy!

I szlochał jeszcze rozpaczniej.

Iwański poszedł do stołu i usiadł na krześle. Niezręcznym ruchem otarł łzę, która mu spływała na lica, i dziwnie go drażniła.

— Biedny chłopcze, — szeptał cicho do siebie. — A ja? Jaki ja podły łotr... jaki słaby jestem...

— Najdroższe stracone na zawsze, na wieki — powtórzył raz jeszcze Własow, łkając prawie jak dziecko.

KONIEC.

łała z podziwieniem: „Ależ to Wagner, najczystszy Wagner!“ Pokazałem jej wtedy, że ta muzyka toż samo wrażenie zrobiła na francuzkim uczonym, który znalazł tę cenną pamiątkę i zaczęliśmy zastanawiać się nad tem, jak wielką chwałę przynosi Wagnerowi odkrycie, że w tych wieki całe spoczywających pod ziemią melodyach starożytnej, cudnej krainy sztuki i piękna, znajduje się uderzające podobieństwo do jego utworów. Gdyby Nietsche dożył tej chwili, zrobiłoby to na nim silne wrażenie i pozbawiło jego krytykę Wagnera głównej i najżywotniejszej jej podstawy, trudno bowiem nazwać dekadencyą sztuki objawy jej w Grecyi w V w. przed Chr. Ze starogreckiej muzyki przeszła rozmowa na starogreckie ozdabianie waz i wyrobów glinianych, pokazałem towarzystwu reprodukcyę znakomitego i prześlicznego rysunku, który przedstawia Eosa niosącego trupa swego syna. Jest to najdokładniejsze wcielenie późniejszego chrześciańskiego pojęcia Mater dolorosa. Podziwialiśmy, widząc na jednej z starych waz Satyra z nogą drewnianą, jak daleko posuniętą była w starożytności sztuka amputowania członków i zastępowania ich sztucznemi, aż wreszcie opuściliśmy Grecyę dla Polski, starożytne malowidła dla fresków na suficie i ścianach salonu, pędzla Wywiórskiego: przestały nas zajmować nieszczęścia i troski Grecyi, albowiem przyszły na myśl bardziej dotkliwe, bo nowoczesne. Cholera rozpanoszyła się na dobre w okolicy, panuje wszędzie w poblizkich miasteczkach, a na dziesięciu chorych umiera średnio pięciu. Niefortunnem jest, iż tak dużo bywa odpustów w tym miesiącu, za tydzień właśnie wypada w tutejszym kościółku uroczystość, którą nazywają odpustem. Jest to powód do zgromadzenia się setek i tysięcy włościan, którzy piją i bawią się jak mogą. W średnich wiekach miało to jakieśkolwiek znaczenie. Wówczas Kościół nakładał na grzeszników ciężkie kary, jak n. p. niejedzenie mięsa przez pięć lat, noszenie włosiennicy i t. p., gdy więc co jakiś czas naznaczano odpust ogólny, który od tych kar uwalniał, obchodzono go uroczyście i przyjmowano z objawami szalonej radości. Dziś kary i ćwiczenia cielesne są zaniechane, a pozostały tylko jarmarki i zabawy ludu, połączone z pijaństwem i hulatyką. W obecnych okolicznościach przedstawia to nawet pewne niebezpieczeństwo: zgromadzeni włościanie zajadają się owocami i wypijają niezliczoną moc butelek piwa. Zwróciliśmy się do księdza z prośbą o napisanie do arcybiskupa, by zechciał odłożyć tę uroczystość do nieokreślonego czasu, lecz gdy podobne odezwanie się sąsiedniej parafii zostało przezeń odrzuconem, małą możemy mieć nadzieję, by nasze starania jakikolwiek skutek odniosły.

W przeszłym tygodniu odwiedzałem Warszawę i byłem przyjęty przez Jego Ekscelencyę p. Jankulio, prezesa warszawskiej cenzury, pięknego mężczyznę o oryginalnym typie, gdyż zmieszana krew żydowska, grecka i rosyjska płynie w jego żyłach. W blizkim jest on stosunku do rodziny Hurki, był przez czas jakiś sekretarzem jeneral-gubernatora i szybko zrobił karyerę. Przyjął mię grzecznie, zapewniał, iż nie zatrzymują mojej korespondencyi w cenzurze, chociażby dla tego, że nie rozumieją tu języka duńskiego, i że nadal otrzymywać będę wszystko bez najmniejszej zwłoki. Niemniej przeto dziś, 12-go sierpnia zaledwie doszedł mię numer „Politiken“ z 31-go lipca, ze stemplem centralnego komitetu cenzury. Jego Ekscelencya, pomimo, iż kazał wzywać przy mnie kilku swych podwładnych dla zdania sobie raportu, musi być źle poinformowanym co do tego, co się we własnych jego biurach dzieje. Urzędnicy tutejsi, nie znający języka duńskiego, odsyłają wszystko wprost do Petersburga, gdzie zawsze w zarządzie cenzury jest dość Finlandczyków, mogących go zrozumieć. Najmniejszego nie ma względu na wygodę czytelnika, gdy idzie o nadzór zagranicznej prasy. Wstępne artykuły w całości powycinano, we francuzkiej, świeżo otrzymanej „Revue“ brak artykułu o anarchizmie, wszystko, co tylko ze względów politycznych, religijnych lub moralnych nie zyskuje uznania, bywa tak zaczernionem, że nie można dojrzeć ani litery.

Nie da się zaprzeczyć, że Rosyanie potrafią rządzić umiejętnie. Machina rządowa działa nieustannie z rzadką ścisłością i dokładnością, bez najlżejszego hałasu, w ciszy, powiedziałbym, śmiertelnej, tak, że jej się wcale nie dostrzega. Dawno minęły czasy, gdy sprawy polityczne zwracały ogólną uwagę i miały pewien rozgłos, dziś postępuje się zupełnie inaczej i trzeba przyznać, dużo racyonalniej i skuteczniej. Pewnego poranku, bardzo wcześnie, zjawia się dwóch ugrzecznionych żandarmów w mieszkaniu człowieka podejrzanego, po dokonaniu rewizyi zabierają go z sobą do powozu i od tej pory „ni vu, ni su“. Niepodobna dowiedzieć się czegobądź o nim, dopóki sam nie powróci, notabene jeżeli wróci! W najbliższem sąsiedztwie zaaresztowano młodą, dwudziestoletnią panienkę. Na rozpaczliwe pytania rodziców „za co? dla czego?“ nie dano żadnej odpowiedzi. Żandarmi mieli tylko rozkaz aresztowania, nie wiedzieli o niczem. Kazano więc zaprzągać konie i nieszczęśliwi rodzice wpadli do Warszawy, o mało że nie jednocześnie z tamtym powozem; udali się do władz, od których dowiedzieli się tylko, że ich córki już nie ma w Warszawie. Po upływie pół roku wróciła sama z petropawlowskiej twierdzy w Petersburgu. Kuzyn jej był aresztowany poprzednio za posiadanie znacznej liczby niedozwolonych książek. Na zapytanie, zkąd miał każdą z nich, odmawiał stanowczo odpowiedzi, lecz nieustanne budzenie w nocy, prześladowanie go tem pytaniem i stosowanie innych wypróbowanych w tym celu środków, zmusiło go w końcu do przyznania się, iż jedną miał od swej kuzynki. Ponieważ nie okazało się nic więcej przeciwko niej, wypuszczono ją tym razem na wolność, lecz w tym roku, gdy nierozsądna i smutna w swych skutkach żałobna procesya, złożona z młodych ludzi i dziewcząt, przeszła po ulicach Warszawy, święcąc stuletnią rocznicę wybuchu powstania 1794 r., została ponownie złapaną jako przyjmująca w niej udział. Nie udał się fortel, za pomocą którego młodzież dała sobie znać o postanowionej demonstracyi. Ogłoszenie było mniej więcej tej treści: Zmarła N. N. (wymyślone nazwisko), kobieta wielkich cnót i zalet. Niewypowiedzianie ukochaną była przez pozostałe w nieutulonym żalu dzieci, które żyją tylko myślą o niej i o jej zmartwychwstaniu. Wszyscy, co ją znali i kochali, mają się zebrać tego a tego dnia o oznaczonej godzinie, by oddać cześć jej pamięci“. Zamiarem młodzieży było złożyć wieńce przed domem szewca Kilińskiego, z którego to domu obwołanem było najprzód powstanie, lecz policya, przygotowana zawczasu, otoczyła i zabrała do więzienia uczestników demonstracyi w liczbie 300. Wszyscy zostali wysłani w głąb Rosyi, a między nimi i wyżej wspomniana panienka. Przypuszczają, że ich rozdzielono i że każdy z nich znajduje się w innej miejscowości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODEZWA.

W dniu 20 maja 1871 roku zawiązane tu zostało „Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt polskich“. W roku więc przyszłym w maju upływa lat 25 od jego założenia. Bez żadnej przesady powiedzieć można, że przez tę ćwierć wieku nie naprożno ono istniało. Wobec bowiem niewielkich funduszów, jakiemi rozporządzało, wiele dokonało, pomogło do wykształcenia wielu prawnicom na różnych polach zajęć kobiecych, które z pożytkiem dla społeczeństwa pracowały i pracują. Liczby w tym względzie są najwymowniejsze. Otóż instytucya w ciągu 24 lat udzieliła pomocy 61 kształcącym się na nauczycielki wyższe, na nauczycielki muzyki 11, na bony freblowskie 34, na buchalterki 70, na rysowniczki 1, na fotografistki 10, na krawczynie 178, na modniarki 63, na wyuczenie się szycia bielizny 8, haftu 25, na gospodynie wiejskie 58, praczki i prasownice 151, fryzyerstwa 12, kucharki 49, dentystki 3, ochroniarki 13, szewczynie 8, introligatorki 4, drzeworytniczki 1, fabrykantki sztucznych kwiatów 2, aptekarstwa 1, mleczarstwa 2, poszywania parasoli 1, razem 756. — Wydano zaś na ich naukę i utrzymanie 138,954 mr., czyli w przecięciu na jednę uczennicę 180 marek.

Dziś zatem zawdzięcza ofiarności społeczeństwa naszego 756 dziewcząt swe fachowe wykształcenie, dzięki któremu zdobyły sobie i zdobywają byt i są prawdziwie pożytecznemi społeczeństwu. Przekonani też jesteśmy, że społeczeństwo nasze nie wypuści z swej opiekuńczej troskliwości tyle pożytecznego Towarzystwa i nadal wspierać je będzie. Mianowicie da dowód tej troskliwości i życzliwości tego roku, który nas zbliża do jubileuszu i z hojnemi datkami pospieszy ku jego dalszemu utrzymaniu i opatrzeniu.

W pierwszej zaś linii pospieszą z datkami dawniejsze stypendyatki, wywięzując się przez to z długu wdzięczności, zaciągniętego względem społeczeństwa i dadzą nadto w miarę możności środki do kształcenia biednych ich siostrzyc. Niechaj zatem rok bieżący będzie dowodem uznania dla użyteczności Towarzystwa pomocy naukowej, miłości dla siostrzyc biedniejszych i zarazem okazem wdzięczności dla tych, które byt swój pomocy tegoż Towarzystwa zawdzięczają.

Wszystkie dzienniki polskie prosimy o przyjmowanie datków, a następnie odsyłanie ich do kasyerki Towarzystwa.

Poznań, 28 września 1895.

Helena Jakowicka, przewodnicząca. *Marya Kobylińska*, sekretarka.
Marya Sczaniecka, kasyerka.
Emilia Sczaniecka. Marya Mycielska.
Wanda Niegolewska. Anastazya Danysz.
Anastazya Warnka. Marya Stasińska.
Cecylia Zielewiczowa. Wanda Koehlerowa.
Teodozya Veit.
Fr. Dobrowolski. Ks. kanonik Kubowicz.
Stanisław Motty.

Z estrady i sceny.

(Intratna posada. Komedya w 5 aktach A. Ostrowskiego. Przekład z rosyjskiego).

Rzecz dziwna! nawet ta garstka ludzi, którzy, mimo zabójczej atmosfery poznańskiej, zachowali w duszy swojej kącik maleńki, gdzie mieszka sztuka i piękno, — nawet ci, których towarzystwa szuka się po teatralnych premierach, by w poufnej gawędce snuć dalej wątek artystycznych wrażeń, — nawet oni dla sztuki Ostrowskiego nie mieli nic prócz kamienia. Nie mówię o wszystkich, ale słyszałem tam właśnie kategoryczne wystrzały niechęci, gdzie ich najmniej się spodziewałem, gdzie piękno kochają, cenią i pojmują. A tego piękna dramatycznego jest wiele, bardzo wiele w komedyi rosyjskiego autora.

Oni jednak mówili: „Studencka robota! Szereg obrazków rodzajowych, dobrych do noweli. Wszystko rozbite i rozdeptane. Wraz z pierwszym aktem wątek się urywa i w trzech odsłonach szukasz go naprożno.“ Być może. Wirtuozem nie jest Ostrowski. Sztuka jego powstała w chwili, gdy jeszcze francuzka technika nie królowała wszechwładnie na scenach europejskich, więc czarnoksięztwo takich Ohnetów, Sardou, Dumasów i niemieckich wychowańców mistrzów nadsekwańskich nie układało mu linii w piękne wiązania, opromienione blaskiem lśniących fajerwerków. Dla ludzi lubujących się tylko w zręcznym Sardouizmie, gdzie wszystko łączy się, płacze i rozwija z artyzmem figur baletowych, gdzie ręka żonglera wyrzuca w górę tuziny błyszczących kul i popieściwszy się ich tańcem wężowym, chwyta je razem i prezentuje rozbawionym widzom, gdzie 10 szufladek akt pierwszy otwiera a ostatni zamyka i równa, — dla tych wszystkich — nie przeczę — piękno Ostrowskiego, a może piękno rosyjskiej sztuki wogóle pozostanie zagadką. Jest jakaś surowość w artyzmie wschodniego kolosu, konstrukcye skrzywione i materyał twardy, bez apretury i rzeźby, — artyzm ten nie pieści oka i ucha, lecz przygnębia jakąś głuchą, elemen-

tarną potęgą i rozdziera dusze jakimś jękiem wielkim i analizą niemiłosierną, wypruwającą nerwy z ludzkich organizmów i rozświetlającą wężami błyskawic otchłanie duszy ludzkiej i ludzkich stosunków.

Powtarzam raz jeszcze: Wirtuozem nie jest Ostrowski. O prawidła ruchu scenicznego nie dba, o zajmującą intrygę się nie stara, na artystyczny układ materyału zdobyć się nie umie. Zapragnął dwie tragedye w sztuce swej połączyć, lecz pozrywał komunikacye i rozdarł swój utwór na dwoje. Zatraciwszy akord pierwszego aktu, podniósł go w piątym dopiero i zamiast akcyi dramatycznej wyśpiewał tylko w końcowej odsłonie opowieść kobiety o nieznanych, gdzieś za kulisami rozegranych dziejach. I tak znienacka zaskoczył widza finałowym dźwiękiem obcego widzom dramatu, że wielka scena między starcem shańbionym a przykutą do łoża jego małżonką młodą stała się czemś oderwanem i cudzem. Wiemy, że Mikołaj Wierniew kupił sobie żonę, wiemy, że ona go zdradziła, ale boje tych istot, ale męczarnie kobiety związanej z mężem-półtrupem i otoczonej wyziewami czynowniczego bagniska, giną w pomroce. Akt drugi, trzeci i czwarty zawierają dzieje innych ludzi. W zgniliźnie biurokracyi rosyjskiej zjawia się jakiś człowiek dziwny, — Żadow nazwisko jego. Wśród łotrów, łapowników, złodziei, oszustów i głupców staje dumny, uczciwy i rozumny. Z ław uniwersyteckich wyniósł prócz wiedzy kult piękna, dobra i prawdy. Typowy liberał z czasów Aleksandra II, gdy „młoda Rosya“ rwała się do reform, gdy humanitarne hasła rozpierały serca i garść duchów płomiennych wiodła bój szlachetny z ciemnoścą i zdziczeniem moralnem własnego narodu, — błąka się ten Żadow wśród znikczemniałej zgrai rosyjskich czynowników z skargą i przekleństwem na ustach. A oni nienawidzą „filozofa“. Na trzęsawisku, które chleb im daje, takich głosów nie słyszano nigdy. Tam odzywał się tylko głuchy plusk płazów, nurzających się w lepkiem i cuchnącem bagnie, a gdy nad morzem zgnilizny staje Żadow-człowiek i do człowieczeństwa nawołuje płazy, zrywa się motłoch przerażony i syczy: „Niech będzie na podobieństwo nasze lub niechaj ginie“. Znam mało tragedyi tak przejmujących jak ta cicha męka uczciwej jednostki z otoczeniem zgniłem. Bo ta męka nosi szare cechy powszedniości i dla tego może właśnie tak za gardło chwyta i dusi. Nadzwyczajnych kolizyi i nadzwyczajnych wypadków tu nie ma. Proste życie, prosta walka z głodem, prości ludzie i proste wyrzuty banalnej kobiety, złączonej z człowiekiem o szlachetniejszych dążeniach. W tym Laokonowym uścisku pospolitej szarości bytu szamoce się Żadow, ugina, by po chwili powstać i dalej się męczyć i przemęczyć życie. Głupcy i złodzieje tryumfują, piją szampany i tańczą, a on wraz swoim smutkiem błąka w ponurych kątach ubogiej izdebki, spogląda w kwaśne oblicze żony i czasem tylko zajęczy głucho płaczem rozpaczliwym.

Zaprzeczyć trudno, że i w tej drugiej tragedyi „Intratnej posady“ autor nie ustrzegł się pewnej monotonii i błędów w konstrukcyi, ale milsza sto razy ta surowa boleść prawdy życiowej od okrągłości, elegancyi i efekciarstwa, królujących dziś jeszcze na scenach europejskich. Komedya Ostrowskiego to jakiś straszny krzyk nad otchłanią nędzy rosyjskiej, to jakaś olbrzymia skarga nad ciemnotą i upadkiem własnego narodu, to jakaś walka drobnych światełek z masami gęstych, nieprzebranych cieni. A tragedya ta wgryza się dla tego właśnie tak głęboko w duszę ludzką, że to nie karykaturzysta i nie satyryk, lecz potężny werysta przemawia do nas ze sceny. Obraz cały kąpie się w tintach żałobnych, ale ani na chwilę widz nie doznaje uczucia, że autor tendencyjnie tinty te nakłada, że dla osiągnięcia plastyki scenicznej lub humorystycznych efektów wykrzywia i czerni postacie. Bagno i bagno bez końca, wielkie, grzęzkie i rozpaczliwe, lecz to bagno życia, nie produkt satyrycznej fantazyi. Każda namiętność, każde łotrostwo ma tu dźwięki ludzkie, a wszystko razem jest niemal jakąś naiwnością występku, jakąś wiarą, że tak być musi, jakiemś obłąkaniem moralnem. Ostrowski posiada przedziwny talent wydobywania życia kilku kreskami, jednym zwrotem stylowym, jednym jękiem. Co to za wspaniała postać taki Jusow ze swoim wstrętem do „uczonych“ i „uczciwych“ ludzi. Lub takie dwie epizodyczne figury aktu III jak Mykin, przyjaciel Żadowa, i Dosużew, pokątny doradzca. Dawno mi już scena takim bólem nie grała jak w owej chwili, gdy Mykin w półjęku mówił przed Żadowem, że w Rosyi nie ma szczęścia dla uczciwych, a Dosużew z desperackim humorem zalecał strapionym i złamanym wódkę-pocieszycielkę. „Nie pij ty wina, pij ty gorzałkę“ — mówił do Żadowa i cała scena brzmiała wielką skargą.

Kreacya tych postaci przynosi zaszczyt prawdziwy panu *Nowackiemu* i *Berskiemu*. Gra ich była dziwnie dyskretna a smutek głęboki, i mimika twarzy wyrazista. Dwie te maleńkie role wysunęli młodzi artyści na pierwszy plan. Niespodziewanym tryumfem stał się również występ p. *Grabowieckiego*. Mimo właściwego nowicyuszom scenicznym spętania ruchów i chwilowych zalęknień zdobył się ten artysta na wspaniałe dramatyczne akcenty. Płacz w akcie III i wielka scena aktu IV, gdy Żadow się łamie, stały się objaśnieniem *par excellence* realistycznego talentu. Gra p. Grabowieckiego zdradzała wymownie, że artysta przyswoił sobie duszę bohatera i wyrzucił ją z siebie całą i niesfałszowaną. Umiał on być szczerym i potężnym w chwilach uniesień, — sztucznym i skrępowanym natomiast zdawał mi się tam, gdzie burza uczuć drzemała. Po nieudanej roli Zbigniewa stała się kreacya Żadowa zdumiewającą niespodzianką.

Z szczerem uznaniem zapisuję tu również charakterystyczną grę p. *Jakubowskiego* w roli Jusowa. Artysta nasz stworzył typ o znakomitej plastyce, żal mi tylko było, że — nie wiem, czyja tam ręka — usunęła z roli jego kilka nader ciekawych, dla dokładności psychologicznego rysunku niezbędnych prawie ustępów. Pan *Knapczyński* jako Białogubow nie ujawnił może dość naiwnego sprytu, właściwego tej postaci, ale po za tem umiał być "szeroką naturą“ niepozbawioną humorystycznego kolorytu. Pan *Skirmunt* wreszcie głuchą wściekłość zdradzonego męża odegrał z wspaniałym realizmem, a całą postać skąpał w starczej słabości, odbijającej jaskrawo na tle młodej i pięknej małżonki.

Z kobiet występujących tryskała p. *Ogińska* życiem i swobodą, a lubo miejscami zgrzytła tam pewna afektacya w ruchach i dykcyi, to jednak postać Poli Kukuszkinówny zdradzała sumienne studya i zrozumienie typu. Gra panny *Paszkowskiej* raziła brakiem pamięciowego opanowania roli, co obniżyło wrażenie dramatycznej sceny z Wierniewem w akcie ostatnim. Mimo to jednak było tyle wytworności w tej żonie Wierniewa i tyle zimnej dumy i żalu grało chwilami w wspaniałym głosie artystki, że chociaż wieczór sobotni do szczerych oklasków rąk jeszcze nie składał, to niewątpliwie przyszłość obdarzy niemi artystkę. W końcu podnoszę jeszcze grę p. *Jakubowskiej*, w roli Julii, nie pozbawioną filuteryi, wdzięku i swobody.

O ile jednak poszczególne role znalazły poprawnych a nawet doskonałych przedstawicieli, o tyle całość sztuki nosiła piętno dorywczego wykończenia. W grupach nie było rysunku, w scenach ensemblowych raziła plątanina, a dyalog zbiorowy rwał się i haczył.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Przemówili. — Jeszcze o przyczynach upadku prasy. — Pogoń za skandalem. — Protestujmy.)

Zamieszczając w ostatnich tygodniach szereg artykułów o umysłowem i moralnem bankructwie prasy poznańskiej, nie przypuszczaliśmy, że już najbliższa godzina dostarczy nowych, dziwnie jaskrawych dokumentów na potwierdzenie analizy naszej. Dziesiątki listów dzięczynnych nadesłanych redakcyi świadczą wymownie, że protest nasz obudził w społeczeństwie instynkt krytyczny, że wypowiedział może pełnym głosem to tylko, co w ukryciu oddawna już jak robak wgryzło się w serca uczciwych i światlejszych ludzi. Lecz dziennikarstwo milczało. Czy to wstyd nie zamarły jeszcze do szczętu, czy strach przed reklamą dla śmiałych analityków spętał mu pióra, — nie wiemy. Dość, że prasa odpowiedziała głuchą ciszą na bolesną skargę „Przeglądu“ i trzeba było dopiero pojawienia się peryodycznych paszkwilów, trzeba było pamfletu na jeden z uczciwych i zasłużonych domów poznańskich, aby zerwała się burza dziennikarska i krzyk przerażony: Giniemy!

W „Dzienniku Poznańskim“ ukazał się artykuł, napisany z niezwykłą w tym organie siłą i energią, — i wnet prasa miejscowa i prowincyonalna rozbrzmiała echem pobudki. Zrozumieli nagle wszyscy, że stoimy na bagnie lepkiem, grzęzkiem i głębokiem, zrozumieli wszyscy, że „coś się stać musi“, jeżeli rak niema stoczyć prasy i społeczeństwa. Dziwni krótkowidze i dziwni lekarze chorób społecznych! Gangrena dawno już w czarno-sinych barwach ślady swe znaczyła, a oni sądzili, że to plama zwykła, — znamię bez znaczenia. I dopiero wtedy, gdy zgnilizna doszła już prawie do serca i coraz groźniej świadczyła o sobie, padł strach i smutek na mędrców i „pisma uczonych“. Lecz i w tej chwili krytycznej nikt nie uczynił rachunku sumienia i pokutną ręką w piersi nie uderzył, — nikt nie zapytał, kto wykarmił to wyuzdanie dziennikarskie, które bezkarnie grasuje na bruku poznańskim, wdziera się w progi rodzinne, bezcześci uczciwe kobiety i błotem rzuca na ludzi, których winą chyba to jedno, że wzrostem przerastają tłum rewolwerowy. Toż „Kuryer Poznański“ przedrukował artykuł „Dziennika“ w sprawie „godności dziennikarskiej“, — przedrukował i nie spłonął wstydem. O! cnoto, gdybyś ty innych obrońców nie miała, to lepiejby ci było zakryć twarz i w ziemię się przepaść. Bo któż to dzisiaj rycerzem twoim się mieni, — któż dzisiaj z apostolską powagą gromi napastników? Zdaje mi się, że oszczędzić sobie możemy długiej litanii „Kuryerowych“ grzechów. Odmawialiśmy ją od pierwszej chwili naszego istnienia i każdy z czytelników naszych zrozumie krwawą satyrę tkwiącą w tem Kalchasowem kaznodziejstwie cnoty. I gdyby „Dziennik Poznański“ zajrzał w głąb własnej swej duszy, zrozumiałby może również, że i jego oficyna była rozsadnikiem laseczników zgnilizny, że i tam nietylko tolerowano każdy gatunek broni, zwrócony w stronę wrogów politycznych, nietylko rozpasaną stronniczością użyźniano ziemię pod zasiew blekotu, nietylko maskowaniem występków obniżano pojęcia etyczne, lecz w pewnych momentach nie wahano się wręcz zapożyczać w banku "Kuryerowych“ wartości. Nie chcemy krzywdzić „Dziennika“, równając go z organem duchowieństwa, ale trudno nam wśród przyczyn dekadencyi poznańskiej milczeniem pominąć dwulicowość jego. Jeżeli druzgocący artykuł poświęcony rozkładowi prasy stanowi początek nowej ery w dziejach najstarszego z czasopism poznańskich, to witamy radośnie sprzymierzeńca w walce z obłudą, szarlataneryą, fałszem i oszczerstwem: a walka ta częściej kończy się krzyżem i koroną cierniową niż laurem, bo gdy z jednej strony walczy człowiek bronią szlachetnych i uczciwych a z drugiej staje bandyta lub szachraj drukowanego słowa, to życie wtedy jest jak ów obraz niemieckiego mistrza, gdzie w nocnym pejsażu, pełnym grozy i burzy, stoi dziewczę młode, z obliczem dumnem i nieskalanem a jędza potworna ściska mu gardło kościstą dłonią. I właśnie u nas bój ten staje się cięższym niż wśród innych ludzi, bo dziennikarstwo do tego stopnia zdemoralizowało opinią publiczną, że chcąc w niej właśnie znaleźć sojusznicę, trzeba mozolną i długą rozpocząć hygienę. Cóż z tego, że jedno lub drugie z uczciwszych czasopism nazwie po imieniu zgrają „literatów“, zamieniających pióro na maczugę, cóż z tego, że „Dziennik Poznański“ wyrzuca z kałamarza swojego niezwykłe słowo „szubrawcy“, jeżeli

opinia milczy lub w kącie ręce zaciera rozkosznie. Toż my na każdym kroku spotykamy ludzi, mówiących nam w poufnych gawędkach: „Zdepczcie co pełza. Zduście zarazę w zarodku. Stawcie pręgierze dla niesumiennych aferzystów, przedzierżgniętych w redaktorów i redaktorków“, lecz ci sami Katoni z poznańskiego bruku nie wahają się, zanim jeszcze echo słów takich przebrzmiało, ściskać publicznie potępionej ręki i w cieniach nocy znosić materyał fabryce paszkwilów. Zamiłowanie do skandalu stało się epidemią miejską. Mniejsza o to, czy ktoś puści anegdotę o płatnym szpiegu niemieckim, czy obrzuci śliną uczciwą kobietę, czy podpatrzy ilość wypitych szampanek, wydrwi zaręczyny tej lub owej panny lub porodzi kaczkę o bankructwie sensacyjnem, — zawsze znajdzie łakomych awantury czytelników i rozradowanych zdobyczą kolporterów. Nas interesuje skandal i skandal bez końca. Gdyby ktoś ogłosił nagle, że pani X. otrzymała od pana Y. naszyjnik brylantowy, dysputowanoby o tem dłużej i zawzięciej niż o śmierci Carnota lub tragedyi w Krożach. A im drastyczniejszą jest napaść, im dotkliwiej szarpnięto honor jednostki, im brutalniej obnażono tajemnice rodzinne lub domowe, tem radośniej błyszczą źrenice naszych wielkich i małych plotkarzy poznańskich. Przyciśnięty do muru odpowiada taki pan zwykle, że potępia napaść, lecz raduje się dowcipem i formą. „Well roared lion“ — ale nieuczciwość pozostaje zawsze nieuczciwością, bez względu na to, czy ubiera się w stylowe kostyumy i świecące klejnoty, czy też w nędznych stąpa łachmanach. Zresztą, miły Boże, gdzież tu w tych poznańskich paszkwilach jest pianka i szum nadsekwański, — gdzież ostatecznie dowcip takich Saphirów i Börnów? Wszystko takie gospodarskie, takie ordynarne, grube a pretensyonalne, że już nietylko nad etyką autorów, ale nad ich bezsiłą umysłową ręce załamać wypada. Czyż klakierzy kalumnii istotnie złota dowcipu od tombaku odróżnić nie umią? Może, — ale prawdopodobniejszem zdaje mi się przypuszczenie, że owa admiracya formy jest tylko płaszczykiem, że oni w samej rzeczy zachwycają się treścią napaści, brukaniem ludzi i deptaniem ofiar.

Przeciwko temu to rozpasaniu najniższych instynktów natury ludzkiej, nawołujemy wszystkich uczciwych kolegów po piórze do bojowego aljansu. Nie przeceniamy bynajmniej wpływu drukowanego słowa na umoralnienie społeczeństwa, ale zdaje nam się, że dotychczasowe praktyki dziennikarstwa poznańskiego i owo apatyczne „laisser-faire“, stosowane wobec najwyuzdańszego bezwstydu, zamiast kruszyć zwierzę w człowieku, karmi je i rozzuchwala. Być może, że rzecznictwo takich ideałów rozpęta zrazu przeciw nam satyrę tych, dla których wanienka z błotem jest ulubionem mieszkaniem, i tych, którzy na bruku poznańskim zorganizowali bandę tajnych agentów dla wykradania lub fabrykacyi tajemnic prywatnego życia i przetapiania ich na pokupny towar dziennikarski. Dalej zatem! W górę pałki! Potwierdzicie tylko słowo poety o „głodnych, wyjących pod piramidą szakalach“.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Kobieta a mężczyzna. Profesor uniwersytetu wiedeńskiego *Benedikt* poświęca w najświeższem dziele swojem p. t. „Die Seelenkunde als experimentale Wissenschaft“ obszerny rozdział kwestyi kobiecej. Z rozdziału tego podajemy w streszczeniu ustęp następujący.

Kobieta ma ogromną wyższość nad mężczyzną pod względem szlachetności uczuć i zdolności znoszenia cierpień wypływających z tychże uczuć. Mężczyzna nie byłby zdolny do tak ciężkiej walki, jaką niejednokrotnie toczą kobiety w obronie swojego honoru. To też wejście kobiet do życia publicznego jest bardzo pożądane, ze względu na podniesienie się poziomu etycznego stosunków społecznych. Ze jednak prawa naturalne ustanowiły wyraźne różnice pomiędzy dwiema płciami, nie należy dopuszczać kobiety do równouprawnienia z mężczyzną, aby nie obniżać poziomu inteligencyi i czynnej energii rodzaju ludzkiego.

Należy kobietom przyznać prawo kształcenia się i pracy w granicach ich sił naturalnych, tem bardziej, iż większość dziewcząt ze sfer mieszczańskich, średnio zamożnych, a raczej pracujących na swoje utrzymanie, nie wychodzi za mąż z powodu braku posagu, a więc chybia swemu naturalnemu przeznaczeniu. Wykształcenie niższe i średnie powinno być dostępne zarówno dla mężczyzny, jak dla kobiety. W profesyach liberalnych, wymagających wyższego wykształcenia, kobiety zdolniejsze dochodzić mogą do wyżyn, dosięganych przez mężczyzn, zwłaszcza w zajęciach, które nie wymagają zdolności twórczych. Ale wielkie prace społeczne i techniczne, wielkie rezultaty niech pozostaną dla mężczyzny, nie dla tego, aby wykształcenie współczesne kobiety miało być niższe od wykształcenia mężczyzny, ale że natura chce tego. Nieliczne wyjątki, które spotykamy od czasu do czasu, potwierdzają regułę, bo natura często bawi się, stwarzając nadzwyczajności, których jednak na seryo w rachubę brać nie można. Od lat niezliczonych kobiety grywają i znają się na muzyce, ale kompozycye kobiece należą do rodzaju niższego.

Różnica pomiędzy mężczyzną a kobietę manifestuje się bardzo jaskrawo w dążeniach nienormalnych płci obu. Kobieta kłamie tak łatwo, jak dziecko, gdyż uważa kłamstwo za broń, mniej godziwą od innych, ale może od innych skuteczniejszą. Kobieta skłonną jest do krętactwa z powodu swojej słabości naturalnej. Mężczyzna jest raczej skłonny do niszczenia tego, co mu zawadza, niż do okłamywania innych lub siebie nawet, jak się to kobietom zdarza. To też liczba przestępców płci żeńskiej jest niezmiernie nizką w porównaniu z liczbą przestępców płci męzkiej. Kobieta jest słabą fizycznie, ale daleko więcej wytrwałą. Kobieta jest niższą od mężczyzny wszędzie, gdzie czyn wymaga jednorazowego wielkiego natężenia woli; tam, gdzie czyny wymagają stałego natężenia woli, kobiety są wyższe od mężczyzn.

Kobieta i mężczyzna — kończy rzecz swoją profesor Benedikt — nie są to dwie jednostki jednego i tego samego rodzaju istot, ale dwie jednostki istot różnych, choć do siebie podobnych. Nie można też mówić o absolutnej ich równości, gdyż porównywać ze sobą można tylko pojęcia sobie podobne.

* * *

Poznańskie Towarzystwo przemysłowe uchwaliło rozpisanie konkursu na pracę p. t. „Wystawa poznańska a nasz przemysł i handel“. Broszura ta ma zawierać:

1) przedmowę, zawierającą między innemi zwięzły opis wystawy; 2) współudział Towarzystw naszych przy urządzeniu wystawy; 3) skorowidz wystawców Polaków z wyszczególnieniem ich wyrobów i to: a) miasta Poznania, b) zamiejscowych; 4) wykaz znaczniejszych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych w Poznaniu, które udziału w wystawie nie wzięły; 5) pogląd ogólny na stan nasz przemysłowy i handlowy z uwzględnieniem ekonomicznych potrzeb i dążeń; 6) zakończenie wykazujące braki i niedomagania w dziedzinie naszego przemysłu i handlu.

Prace nadesłane być mają dyrekcyi Towarzystwa na ręce przewodniczącego p. dr. Karchowskiego najpóźniej do 15 listopada r. b. Objętość broszury ma wynosić 4—6 arkuszy druku 8.

Uchwalono dalej dla autora najlepszej pracy 200 marek honoraryum. Jury składać się będzie z członków dyrekcyi Towarzystwa i kooptowanych przez nią sędziów. Broszury tej wyjdzie dziesięć tysięcy egzemplarzy.

* * *

Redakcyę „Dziennika Kujawskiego“ objął dawniejszy redaktor „Nowin Raciborskich“, dzielny szermierz narodowy i zdolny publicysta p. I. K. Maćkowski. Redakcyą „Gazety Gnieźnieńskiej“ kierować będzie pan Józef Chociszewski.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Podług spisu ludności z 14 czerwca r. b. liczą Prusy 31,491,209 osób. Dnia 1 grudnia 1890 roku wynosiła liczba ludności 29,957,367 osób; wzrost więc ludności wynosi w czterech i pół latach przeszło półtora miliona czyli przeszło 5 proc. — Cesarz austryacki przesłał już hr. Badeniemu nominacyę na prezesa ministrów i wezwał go oficyalnie do przedstawienia wniosków w sprawie utworzenia nowego gabinetu. — Zmniejszenie się produkcyi cukru w rozpoczętej teraz kampanii oblicza statystyk Sicht dla Niemiec i Austryi na zasadzie tegorocznego ograniczenia uprawy buraków na 30 procent w roku zeszłym. Dla całych Niemiec obliczają zmniejszenie produkcyi z 4,800,000 na 3,600,000 ton. — Pisma polskie wychodzące na Górnym Szląsku proponują na kandydata do parlamentu niemieckiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim p. Adama Napieralskiego, redaktora bytomskiego „Katolika“. Pisma poznańskie i zachodnio-pruskie wyraziły sympatye swoje dla kandydatury powyższej.

* **Teatr i muzyka.** Czwartkowe przedstawienie „Uriela Akosty“ w teatrze poznańskim stało się bardzo interesującem ze względu na występ młodej i utalentowanej artystki p. Paszkowskiej w roli Judyty. Doskonała gra bohaterki rozbroiła nawet niechętnych i uprzedzonych, stwierdzając wymownie, że talent jej posiada siłę niepospolitą. Obszerniejsze uwagi zamieścimy w numerze następnym, — tu nadmieniamy jeszcze, że obok panny Paszkowskiej zjednali sobie gorące uznanie publiczności panowie Skirmunt i Nowacki. — Była artystka teatru poznańskiego p. Łaska została angażowaną do rządowych teatrów w Warszawie. — Scena warszawska wystawi niebawem dramat Jerzego Hirszfelda p. t. „Matki“. Przekładu dokonał Maryan Gawalewicz. — W Kijowie występował z wielkiem powodzeniem Myszuga w operze Czajkowskiego p. t. „Eugeniusz Oniegin“. — Ignacy Paderewski rozpoczął kilkomiesięczną podróż po Ameryce — W Monachium wychodzić zaczęło pismo, poświęcone wyłącznie grze na mandolinie. — W sobotę odegraną zostanie w teatrze poznańskim czteroaktowa komedya Blumenthala i Kadelburga p. t. „Dwa herby“. Główne role obejmą p. Vernon i p. Ogińska. — Dyrekcya teatru poznańskiego nosi się podobno z zamiarem wystawienia w najbliższym czasie głośnej komedyi Sardou p. t. „Madame sans Gêne“. — Dyrekcyę teatru Stanisławowskiego objął pan Myszkowski.

* **Zjazdy i kongresy.** Międzynarodowy kongres fizyologów zebrał się w Bernie. — Kongres rolniczy rozpoczął swe obrady w Brukseli. — W Lubece od dnia 16 do 21 z. m. odbywał się zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich. — W Bernie odbył się zjazd statystyczny pod przewodnictwem prof. Rawsona z Londynu. — W Zgorzelicach na Szląsku Górnym odbył się 24-go zjazd fotografów z Niemiec, Austryi, Szwajcaryi i Rosyi, którzy się zajmowali głównie prawem o ochronie własności w tej dziedzinie. — Zjazd mechaników i optyków odbył się w dniach 12 do 14 września w Hamburgu. — W Bazylei miał miejsce 20 sierpnia kongres międzynarodowy w celu zwalczania pijaństwa.

Zmarli:

* **Ks. Eustachy Skrochowski**, prof. historyi kościelnej uniwersytetu lwowskiego, zm. 17 września.

* **Prof. Ludwik Pasteur**, słynny bakteryolog, zm. w Paryżu w końcu września.

* **Gustaw Ehrenberg**, znany poeta, literat i działacz polityczny, zm. w Krakowie 28 września.

BIBLIOGRAFIA.

Dr. Z. Celichowski. Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego. Poznań, 1895.

Alkar. Łazarz Carnot jako wygnaniec w Warszawie. Kraków, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Zdziwionemu. Numer „Kuryerka teatralnego“ został dołączony bez woli i wiedzy redakcyi do przeszłego numeru „Przeglądu“.

Erna. Dziękujemy za wyrazy uznania i popieranie pisma naszego. Numery okazowe wyślemy. O terminie przedstawienia „Łotrzycy“ nic pewnego donieść jeszcze nie możemy.

Od Administracyi.

Jeden z Czytelników naszych życzy sobie mieć numera: 8, 9, 31, 32 i 34ty „Przeglądu Poznańskiego“ za odpowiednim wynagrodzeniem. Ktoby takowe posiadał i sprzedać je zechciał — niechaj się zgłosi do naszej ekspedycyi.

Składki.

Na rzecz „Tow. Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich“ złożyła:

Z. T. 30 marek.

O dalsze składki gorąco prosimy ze względu na humanitarny i narodowy kierunek tej instytucyi.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.